ŚWIAT

CENA 1 ZŁ.

NA OŚNIEŻONE SZCZYTY – PO SŁOŃCE...

Nr. 48. 27.XI.1936.



w numerze:

fot. T. i S. Zwolińscy

ŚWIAT

REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI
ROK XXXI. Nr. 48 27. XI. 1936



Leopold Janikowski.

L. CHRZANOWSKI

KOLONJE—POLSKĄ RACJĄ STANU

Kolonje dla Polski!

Zdanie to przestało być okrzykiem. Przestało być hasłem.

Stało się programem.

Tak jest. Potrzeby ekonomiczne Polski, polityczna rola Polski, jej stanowisko i znaczenie międzynarodowe sprawiają, że już dziś żądanie kolonji — to polska, państwowa racja stanu.

Zdobycie czy uzyskanie terenów kolonjalnych złączone jest nierozdzielnie z polską przyszłością.

Rozwiązuje ono wiele naczelnych naszych zagadnień politycznych. Rozwiązuje ono sprawy, których normalizacja niezbędna jest dla utrwalenia pokoju i bezpieczeństwa międzynarodowego.

Konieczności gospodarcze, konieczności polityczne zmuszają nas, aby żądania kolonji wysunięte jako realny program, były potraktowane jako takie zarówno na forum zewnętrznem, jak i wewnętrznem. Bo wysunięcie przez nas żądania kolonji, to nie megalomanja, to wyraz konkretnej potrzeby gospodarczej, to świadomość, że energja narodowa jest już dość silna, by skierować się do budowania państwa o znaczeniu światowem.

Nie o schlebianie ambicji, czy zarozumiałości chodzi, lecz o stwierdzenie, że energja narodu wkroczyła na drogę twórczą; że przystąpiła do twórczego rozwiązywania zagadnień, związanych nie z sezonową przyszłością konjunktury pięciu lub dziesięciu lat, lecz z całą przyszłością narodu, z jego drogami rozwoju — z możliwościami osiągnięcia odpowiedniego, właściwego stanowiska, należnego narodowi polskiemu i jego państwu.

Uświadomienie sobie, że posiadanie kolonji jest realnym programem całego narodu, to pierwszy krok niezbędny dla powodzenia realizacji tego programu. Nie wystarcza, że dziś program ten, tak rzeczowo postawiony przez Ligę Morską i Kolonjalną, ma za sobą wszystkich jej członków, nie wystarczy, gdyby nawet podwojona, lub potrojona ilość tych członków stanęła murem za tym programem. Aby zwyciężyć, aby doprowadzić nas do celu musimy obudzić żywiołową i wytrwałą, nieustającą pracę całego narodu. Czynniki rządowe, obywatelskie, organizacyjne, masy najszersze muszą zrozumieć, że domaganie się terenów kolonjalnych dla Polski, *to budowanie mocnych fundamentów dobrobytu dla przyszłych pokoleń,* to umacnianie bezpieczeństwa i nienaruszalności naszych granic kontynentalnych.

Narody realizują zazwyczaj te potrzeby swoje, te programy — za którymi stoją wszyscy, których słuszność *rozumieją* wszyscy obywatele.

Program więc posiadania i uzyskania kolonji musi być zrozumiały dla wszystkich. Wówczas dynamika jego będzie tak potężna, że i na forum międzynarodowem zwycięży on bez wątpliwości. Naród włoski cały zdawał sobie sprawę z krzywdy, jaka go spotkała po wojnie przy podziale mandatów. O tej krzywdzie wiedział, mówił każdy faszysta i antyfaszysta. Protestował przy każdej okazji każdy obywatel, turysta, polityk, emigrant! Ta krzywda i ta konieczność posiadania nowych terenów ekspansji była tak jasna, tak zrozumiała dla całego narodu, że gdy ukazała się pierwsza możliwość, pierwsza okazja zdobycia i uzyskania nowych terenów — cały naród włoski bez wahania gotów był do największych ofiar i wyrzeczeń, byle tylko zrealizować swe terytorjalne potrzeby. Polska o *zdobywaniu* kolonji nie myśli. Polska idea kolonjalna nie jest zbrojna w bat plantatorski, nie chce stawiać nogi na karku tubylczym.

Polska idea kolonjalna rodzi się z możliwości zupełnie realnej, uzyskania terenów mandatowych.

Terenów o których ewentualnym nowym rozdziale mówił angielski min. spraw zagr. Hoare, poruszając na zgromadzeniu Ligi Narodów w 1935 r. sprawę posiadania surowców. (Na ten sam temat sprawiedliwszego rozdziału surowców odbyła się w lutym b. r. wielka debata w Angielskiej Izbie Gmin).

Istnieje więc pierwszy warunek powodzenia naszego programu kolonjalnego — *istnieje możliwość uzyskania terenów,* na których twórcza energja narodu polskiego, daleka od myśli i metod zaborczych mogłaby wytwarzać nowe bogactwa i siłę państwa polskiego. Bogactwa, które spływałyby równie dobrze na tubylców, jak i na naszą metropolję, szukającą w kolonjach przedewszystkiem surowców.

Skoro ustaliliśmy, że istnieje możliwość uzyskania kolonji, zastanówmy się, jakie są najważniejsze potrzeby, które nas do wysunięcia tego programu skłaniają.

Kolonje są nam niezbędne, bo potrzebujemy: *surowców, nowych rynków zbytu, terenów dla nadmiaru naszej ludności.*

W tym momencie należy jaknajdobitniej podkreślić, że są to potrzeby, których zaspokojenie niezbędne jest dla *normalnej* egzystencji narodu polskiego. Są państwa, które szukają rynków zbytu, aby zagwarantować sobie *luksus* egzystencji, które w pogoni za bogaceniem się pragną posiadać jak największe i najróżnorodniejsze zasoby surowcowe. *Polska nie idzie po tej linji.* Nie o bogacenie się i nie o luksus nam chodzi, lecz o minimum egzystencji. Bo co wykazuje dzisiejsza statystyka w związku z obecnym sanem posiadania surowców? Wykazuje, że za okres 1925—1935 *dopłaciliśmy* krajom zamorskim niemal *4 miljardy złotych* w obcych walutach! (dokładnie 3,783 mil zł.). Tę olbrzymią sumę — płacimy nie za perfumy, pończochy jedwabne, czy inne luksusowe drobiazgi — ale za towary *niezbędne,* pierwszej potrzeby. Bawełna (113 miljonów), juta (7 mil.), kauczuk (7 mil.), kawa (8 mil.), herbata (6 mil.), kakao (5 mil.) — oto towary, które musimy sprowadzać. Ale aby mieć dewizy na pokrycie kosztu tych surowców i towarów niezbędnych, musimy forsować nasz eksport niemal za wszelką cenę. Więc w tymże roku 1935-ym zmuszeni byliśmy sprzedawać nasz cukier po cenie około 13 groszy za kilo, a węgiel w cenie 15 zł. za tonnę!

To znaczy że chłop polski, robotnik, inteligent i cały naród musi *dopłacać* ceną wewnętrzną za tak katastrofalny eksport!

Gdybyśmy natomiast posiadali własne kolonje, gdzie za towary umieszczalibyśmy towary, nie bylibyśmy skazani na dopłacanie rocznie po 370 miljonów złotych za bawełnę, kauczuk, jutę, czy kawę!

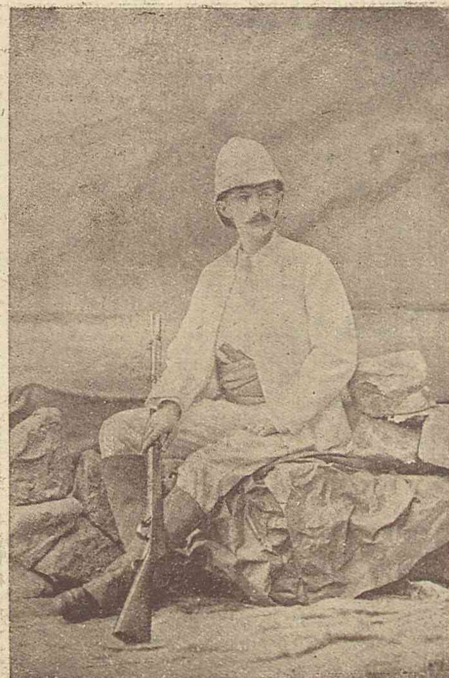
Możliwość umieszczania w kolonjach pewnego odsetka naszej ludności — stanowiłaby też jedno z pomyślnych rozwiązań naszych konieczności emigracyjnych.

Jasne więc są nasze potrzeby, wykazaliśmy je tu pobieżnie. Istnieje możliwość w chwili obecnej mocniejszego przez nas domagania się rewizji stanu posiadania mandatowego, stanu posiadania surowców. Ale istnieje jeszcze wzgląd międzynarodowego bezpieczeństwa. Wymaga ono istnienia silnego państwa polskiego. Państwa, dla którego nie byłby groźny ani jego zachodni, ani wschodni sąsiad.

Niekorzystne zaś geograficzne położenie Polski, może być w znacznym stopniu skorygowane, gdy tereny kolonjalne wzmogą naszą siłę wewnętrzną.

Pozatem wzmoże się wówczas również i nasz oddech międzynarodowy, nasz kontakt z całym światem, nasz autorytet i skala naszych stosunków międzynarodowych. Nie mówiąc już o tem, że siłą rzeczy, fizyczna moc Polski kontynentalnej znakomicie by wzrastała.

Istnieją państwa, które musiały posiadać silne floty, aby *zdobywać* kolonje. Polska nie będzie w tem położeniu, jej silna flota powstawać będzie, jako pokojowy, handlowy łącznik, między Polską a jej kolonjami. Kto wie, czy znana, od wieków dokumentowana polska tolerancyjność nie stworzyłaby z polskich kolonji wzoru współżycia europejczyków z tuziemcami. Nie eksploatując kolonji dla przysparzania sobie bogactw wyłącznie i zbytku, lecz gospodarując niemi planowo, dla wytworzenia gospodarczego związku z Polską kontynentalną, realizować będziemy ekonomiczny i kulturalny program Polski Wielkiej, wspartej o przyszłość pewną, przyszłość nacechowaną twórczą energją całego narodu.



Stefan Rogoziński.

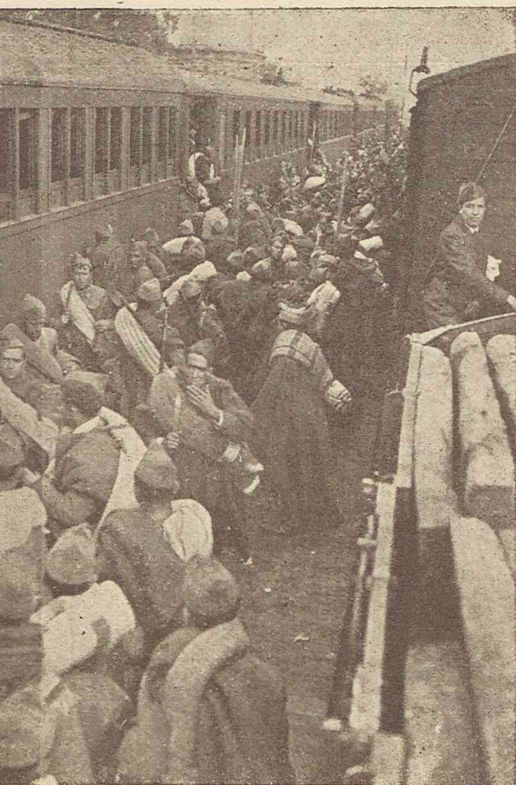


Wśród wichrów i fal.

TEODOR GAUCHER.

U WRÓT MADRYTU

(Korespondencja własna „Świata").



Na stację Talavera de la Reina przychodzą niemal bez przerwy pociągi z posiłkami dla oblegających Madryt.

Po wielu, wielu zmaganiach, po całym labiryncie sprawdzań i konfrontacyj, po braniu pod światło, papierów korespondentów nawet znanych osobiście, po analizie niemal chemicznej naszych *salveconducto* znaleźliśmy się — rozbici na trzy grupy korespondentów zagranicznych — u wrót Madrytu.

Avila, Talavera de la Reina, Toledo — oto trzy punkty wypadowe patroli dziennikarskich, towarzyszących armji gen. Franco, posuwających się wraz z armją narodową. Znajdujemy się dziś przed Madrytem. Chwilami nasze punkty obserwacyjne, zasypywane są kulami salw z madryckich barykad. Widzimy domy, poszczególne uliczki.

Lornetki nasze chciwie starają się przebić mury, skrócić dystans. Czasem przypomina nam się wojna europejska. Trzeba padać na brzuch. Pełzać. Zmieniać pozycję obserwacyjną. Refleksje nasze na temat wojny domowej i jej okrucieństwa przerywa czasem piorun bomby, co o 50 metrów od nas ląduje w pióropuszu dymu, kurzu i ognia, rzucona z trzymotorowego, wspaniałego aeroplanu. Czasem salwa z barykad madryckich, każe nam kłaniać się kulom, a czasem grzmot ognia artyleryjskiego doradza zmianę stanowiska. Stoję za murkiem, okrytym worami piasku.

Żadna pościel nie jest tak pożądana, jak te błogosławione wory z piaskiem! Przedemną piękna stolica Hiszpanji. Rozłożona ufnie, bezbronnie, na płaszczyźnie, zda się nie rozumieć co się stało, co zaszło.

Oto Madryt, miasto, które czasu wojny, uniknęło jej okropności, huku dział, widoku rannych, Madryt, wcielenie bogactwa i zbogacania się neutralnością. Madryt! pierwsze wielkie miasto, pierwsza stolica zdobywana, szturmowana przez nowoczesną armję. Miasto, które się broni również wszelkiemi, ultranowoczesnemi metodami i środkami — a jednocześnie stosuje wszystkie dawne, stare, znane, tradycyjne zasady rewolucyjne. Komuna Paryska, obrona Saragossy—oto obrazy, które muszą się nasuwać równocześnie. Bo obok walk lotniczych, obok tanków idących na tanki — mamy barykady, widzimy w oknach materace, wiemy o kobietach walczących na klatkach schodowych i lejących wrzątek — jak w średniowieczu, jak za czasów walk z saracenami.

Ale z tych refleksyj wyrywa nas głuche warczenie motorów. Nad głowami naszemi przelatują względnie nisko, nie wyżej 400 metrów, dwa wspaniałe trzymotorowce niemieckie. Za niemi z tyłu, jak czuwający żuraw, sunie zwinny, lotny, aparat myśliwski.

Widzimy je po chwili już nad dachami domów.

Trzymotorowce lecą w jednej linji, nisko, ciągle jakby niżej. Aeroplan myśliwski wzbił się ponad niemi, w górę. Jest o jakieś 300 metrów wyżej. Zatacza koła, by nie wylecieć zanadto naprzód. Czuwa. Bada. Pilnuje, aby niespodziewany kontratak, nie zastał trzymotorowców nieprzygotowanych.

Nagle dobiega nas głuchy huk. Przez lornetki widać słup ziemi i dymu, wznoszący się het, tam, w dzielnicy uniwersyteckiej. Jeszcze chwila. Nowy huk. Nowy czarny słup strzela w górę. Bomby! Trzymotorowce zrzucają swój groźny balast. W tej samej chwili, nieopodal nas stojące działo „105", „wyrzuca" swój pocisk — słyszymy huk, świst, efektu nie możemy widzieć. Ale niezwłocznie cztery inne „sto piątki" wyładowały swe napełnione lufy i 4 nowe pociski „zawitały" do tego samego punktu Madrytu. Do uszu naszych dobiegają odległe głuche salwy dział antylotniczych. Jeszcze parę minut i „na-



Oddziały narodowe zdobyły przedmieście Madrytu „Aleorcon".

sze" trzy aeroplany wracają. Wracają wolno, spokojnie, bez strat, kierując się do prowizorycznych lotnisk.

Ale uwagę naszą przykuwa w tym momencie, przemarsz nowych bataljonów, idących na front.

W pelerynach oliwkowych, lub zielonkawych idą ludzie różnego wieku. Są między nimi prawie starcy, z twarzami porzeźbionemi zmarszczkami, są chłopcy po 14—15 lat, są młodzieńcy i mężczyźni w sile wieku. Twarze mają zmęczone, ale oczy płoną blaskiem niemal fanatycznym. Widać, że mają już za sobą dni walki. W twarzach ich widać to charakterystyczne skupienie, jakie mają ludzie, co zetknęli się już ze śmiercią oko w oko.

Nagle jakiś donośny głos rozlega się tryumfalnie: „Viva el Christ Rey!"

„Viva!" — odpowiada kolumna maszerująca.

Jeszcze nie przebrzmiało echo tego okrzyku, kiedy pada drugi: „Viva Espana!

I znów odpowiada chór „Viva!".

Znów pada jakiś okrzyk, wiwat, hasło — kolumna odkrzykuje, ożywia się, krok marszu staje się bardziej zdecydowany, szybszy. Idą na Madryt!

Ledwo nas jednak minęli, rozlega się alarm. Bataljony znikają, rozsypując się w tyraljerze, wśród zniszczonych okopów, ruin, pod sztucznemi schronami z gałęzi. Ku nam nadlatuje dziesięć aeroplanów czerwonych. Mkną szybko. Lecą wysoko. Koloru ich dostrzedz nie można. Ale już artylerja przeciwlotnicza zaczyna grać. A jednocześnie od naszej strony dwa aeroplany zrywają się jak bojowe sokoły. Po kształcie skrzydeł można poznać, że to arparaty włoskie, myśliwskie. Wznoszą się błyskawicznie i lecą na spotkanie eskadry. Jeszcze parę minut i nie mamy już wątpliwości: *ku nam, od Madrytu lecą aparaty sowieckie.* Olbrzymie, wspaniałe, szybkie. Pościg włoski zasypuje je kulami z karabinów maszynowych. Rosjanie odlatują. Nie. Nie wszyscy.

Jeden dokonał ześlizgu na skrzydle, opuścił się do wysokości 400-u metrów zaledwie i krąży nad nami. Nie strzela, nie rzuca bomb. Jego czerwone oznaki można rozróżnić gołem okiem. A nad nim miota się, szaleje w akrobatycznych ewolucjach, sypiąc kulami, włoski pościgowiec. Pilot sowiecki, z niezwykłym spokojem krąży nad nami nadal. Nagle, aparat jakby się zachwiał. Dech nam zamiera w piersiach.

— Spadnie.

Nie. Poderwał się w górę i poszybował, ku Madrytowi. Ku swoim.

Niedługo trwał jednak spokój. Znów nadlatuje eskadra sowiecka. Ta sama dziesiątka. Ale teraz już nietylko krążą. Zasypują nas bombami. Słupy ziemi i dymu wybuchają teraz wśród nas. Jasne są teraz poprzednie ewolucje pilota sowieckiego. Badał pozycję. Robił zdjęcia. Teraz wślad jego rekonesansu nadleciała eskadra bombowa.

Prawie pół godziny sypią się na nas bomby. Na ziemi wszystko przywarowało. Rozpłaszczyliśmy się w rowach.



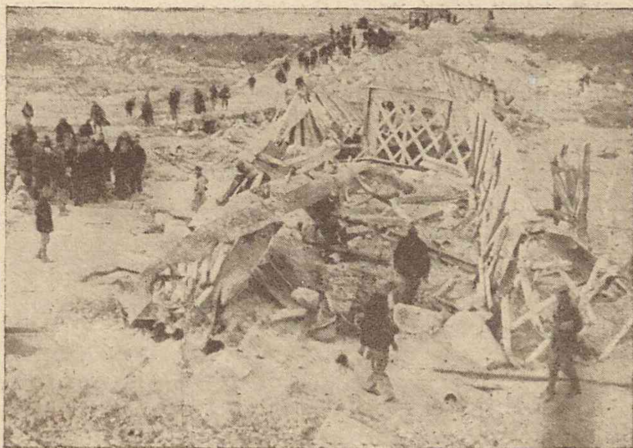
Żołnierze gen. Franco na przedmieściu — wiosce Aleorcon, dzielą się swymi prowiantami z dziećmi

Oswajamy się. Tebardziej, że straty są niewidoczne. Po pewnym czasie bomby są coraz rzadsze. Unosimy głowy. Nastawiamy lornetki. Na horyzoncie mkną ku nam nikłe punkciki. To myśliwska eskadra wojsk narodowych gna z odsieczą. Czerwone trzymotorowce odlatują.

— Świetni są ci sowieccy piloci — mówi bezstronnie, z uznaniem oficer wojsk narodowych, służący nam za guide'a — informatora. Aparaty mają znakomite. Ich „bombowce" mogą robić 400 na godzinę. Gdyby nie oni Madryt byłby już nasz! Wzmogli oni ducha czerwonych, dali im jedność dowództwa, wzięli za łeb frakcje anarchistów i komunistów, a na froncie mają spokój i bojowość.

Wsłuchuję się w te słowa, w tę opinję fachowca. Na niebie cisza. Przed nami domy Madrytu. Domy umęczonej stolicy. Bronią jej aparaty sowieckie — atakują niemieckie i włoskie!

Dramatyczna sytuacja. Bolesna refleksja. „Ideowcy międzynarodowi" dopomagają hiszpanom do wzajemnego tępienia się!



Gwałtowne bombardowanie zniszczyło most na Rio Guadarrama

POŁÓW PEREŁ



Znawca

Znakomity nuworisz i półanalfabeta, pan Nowobogacki w Warszawie, postanawia „wyjść ze swojej sfery". Wynajmuje wspaniały apartament, mebluje antykami, zawiesza obrazami, zapełnia dziełami sztuki. Ach, czego tam niema...

W pewnej chwili spostrzega, że brak mu jeszcze — biblioteki. „Fachowiec" w tej branży przedstawia ofertę: za 10 tys. złotych skompletuje dla pana Nowobogackiego bibljotekę, godną znawcy. Białe kruki. Wydawnictwa naukowe. Artystyczne. Klasycy. Oprawy luksusowe — pergamin i skóra. „Panie — to ma być F. F.".

No i było.

Po kilku tygodniach bibljoteka z „białych kruków" zdobiła gabinet pana Nowobogackiego. Przyszli goście — obejrzeli — i zrobił się mały sądny dzień. „Białe kruki"—okazały się zwykłą makulaturą, kupowaną na wagę. Pergaminowe oprawy — ordynarnym płótnem, z dermatoidowymi grzbietami. Na tych grzbietach — jedyna rzecz autentyczna — piękne tytuły pięknych i cennych dzieł. Ale nie tych, które właśnie stały na półkach.

Pan Nowobogacki szaleje. Każe szukać „fachowca", który go tak urządził. A znajomi śmieją się w kułak: taki znawca, taki amator, taki bibljofil — ma właśnie taką bibljotekę, na jaką zasługuje.

Logika

„W roku 1900 były w Stanach Zjednoczonych 262 instytuty piękności, w których amerykanki wydawały rocznie 7 milionów dolarów. W roku 1936 jest tych instytutów 30 tysięcy, a panie wydają w nich rocznie 200 milionów dolarów. Wniosek — amerykanki są dziś 28 razy ładniejsze od swych matek".

Taką reklamę puścił pewien salon kosmetyczny w USA.

Niby to logicznie.

Ale kobiety mogłyby odpowiedzieć: „Czy za te 193 miljony dol. przypadkiem nie kupiłyśmy — złudzeń?"

Kalectwo — zaletą

Pewien mój znajomy niemiec mówił mi w zaufaniu, oglądając się ostrożnie na wszystkie strony, — jako że byliśmy na terytorjum 3-ciej Rzeszy: „Nie ma pan najbledszego nawet pojęcia, do jakiej doskonałości rozwinięto tu teraz podsłuch. Kontroluje pana każdy i na każdym kroku. W kawiarni sąsiad — to może szpieg. W teatrze — uwaga — tamta pani zanadto przysłuchuje się pana rozmowie! W sklepie, broń Boże użalić się, że niema masła: staje się pan wrogiem ojczyzny! Nawet we własnym domu człowiek też nie ma spokoju: przecież cała niemiecka służba domowa obowiązana jest donosić komu należy wszystko, co się w pana domu robi i mówi. Szpieg we własnym domu — co za rozkosz! Szpieg, który nawet informować będzie, *na jakie stacje zagraniczne nastawia pan swoje radio* — bo są przecież znaczne ograniczenia i w tym względzie!"

— Istotnie, to straszne — odrzekłem. I niema na to rady?

„Jest — odpowiedział niemiec. Właśnie dałem do gazet odpowiednie ogłoszenie. Niech pan czyta: „Służąca uczciwa potrzebna do wszystkiego. Warunek nieodzowny — *głuchoniema*".

Kopja Parylewiczowej

Przysłano nam aż z Nowogródka wycinek z „Kurjera Warszawskiego" zawierający wiadomość o pewnej brzydkiej aferze. Wdowa po staroście, Małgorzata Nowak, popełniła od 1929 do 1931 roku szereg oszustw, wyzyskując po hochsztaplersku stanowisko swego męża i opowiadając, że „ma stosunki" i może wyrobić koncesje monopolowe. Nabrała w ten sposób różne osoby na przeszło 100.000 złotych — których nigdy nie zwróciła. Naturalnie ani koncesyj, ani obiecanych pożyczek też nigdy nie wyjednała. Sąd w Katowicach skazał ją — biorąc pod uwagę okoliczności łagodzące (jakie?) — na 6 mies. więzienia, które podpadają pod amnestję.

Nasz korespondent wymownie podkreślił czerwonym atramentem ten wyrok.

My — w przenośni — czynimy to również.

I pozwalamy sobie zaopatrzyć go pozatem w wielki znak zapytania...

Ale, à propos, kiedy już o tem mowa —

A co słychać z Parylewiczową?

Tramwajem na front

Dziennikarz angielski, William Forest, znajduje się obecnie w Madrycie jako korespondent wojenny. Któregoś dnia zadepeszował żartobliwie do swego dziennika: „Linja bojowa bardzo się przybliżyła. Jadę teraz na front tramwajem, za całe 30 centymów".

Zapewne — to niedrogo.

Tylko niestety biletów powrotnych — nie sprzedają.

A że wojska narodowe zbliżają się z każdym dniem — przeto powrót staje się też coraz mniej pewny. I do 30 centymów za bilet dołożyć można łacno — głowę...

...lecz koniec żałosny

Coroczne żniwo odznaczeń i orderów, przyznawanych z okazji 11 listopada, ominęło w roku bieżącym pewną kategorję, zwykle dość życzliwie wyróżnianą. Ominęło najdokładniej — sportowców.

Przyzwyczajeni do odznaczeń — odczuli zapewne tegoroczną rezerwę dość przykro. Ale „vox populi" stawia rzecz sprawiedliwie: „Ordery — za co? Za klęski w Berlinie? Nie, chłopcy! Pieczone gołąbki same nie lecą do gąbki"...

Spokojna starość zapewniona

Tygodnik „Odnowa" zamieszcza sensacyjną i wprost niewiarogodną informację. Mianowicie były minister Oświaty, Janusz Jędrzejewicz, otrzymuje jakoby emeryturę w wysokości 2910 zł. miesięcznie.

Czytaliśmy, że maximum emerytury wynosi w Polsce 1000 złotych.

Więc???

Maurice Martin du Gard

Ten w Polsce zamało znany pisarz francuski wydał ostatnio zbiór notatek, refleksyj, i anegdot, zatytułowany „Charaktery i zwierzenia". Są tam doskonałe perełki francuskiego umysłu. Oto parę przykładów.

*

Paul Bourget, który głęboko interesował się psychjatrją, bywał często w paryskim szpitalu Świętej Anny. Ujrzał tam pewnego dnia warjata, usadowionego na składanym stołeczku, pośrodku dziedzińca, z wędką w ręku. Na końcu tej wędki umieszczona była — agrafka.

Bourget nie mógł sobie odmówić tej satysfakcji i zapytał warjata, czy wiele już dziś złapał.

„Pan jest trzecim od rana" — usłyszał zcicha pęk odpowiedź.

*

W Pradze Czeskiej zapowiedziana była wizyta Jules Romains, który miał wygłosić odczyt o unanimizmie. Poseł francuski pospieszył poinformować się: „Unanimizm, jeśli dobrze wiem, to *doktryna Unanumo*, nieprawdaż?"

*

Przebacza się chętnie powodzenie bez talentu, albo talent bez powodzenia. Rzadko wybacza się je, gdy idą w parze...

„Drobna kaszka"

Nie jesteśmy zwolennikami za niskich cen. Te właśnie za niskie ceny płodów rolnych doprowadziły Polskę w ciągu rekordowo krótkiego czasu do stanu bezprzykładnej nędzy. Chcemy cen dla rolnika wyższych — bo ten polski rolnik (trzy czwarte ludności) — pracuje niżej kosztów. *Chcemy*, żeby rolnik mógł uczciwie zarobić. Ale *właśnie on — rolnik*.

A nie znów jego kosztem — *zgraja pośredników*.

Dlatego uważamy, że nakładanie przez policjantów kar na chłopa, gdy na targu sprzeda kartofle wyżej niż 4 zł. 50 gr. — jest nonsensem. Bo to jest jeszcze *cena nieopłacalna*. Ale co innego w miastach: sklepiki i handlarze, płacąc chłopu groszaki, lubią zarobić na tem okrągłe złotóweczki. To też wizyta — równie nagła, jak przerażająca — którą pan premjer złożył w straganach warszawskich targów i w sklepach spożywczych — była zbawienna. I narazie miała skutek doskonały: wprowadzono z nakazu cenniki. I trzymano się ich — przez tydzień.

Kiedy się jednak sklepikarze uspokoili, że wizyt więcej nie będzie — podnieśli zwolna główki. Cennik oczywiście wisi — ale nie wszędzie sprzedaje się według cennika. Przydałby się maleńki wypad kogoś znaczniejszego „w teren" np. na Nowym Świecie lub na Brackiej. Czytelniczki nasze mówiły nam, że np. ceny kasz ukryte są skromniutko ... *w szufladach*. One są. I według cennika. Ale która klijentka będzie taka uparta, żeby je aż tam odgrzebywać?

Jedna z pań miała przecież tę cierpliwość. Stwierdziła, że przy niej sprzedawano paniom mniej uważnym kasze po cenach o wiele wyższych. Różnice osiągały 20 i 25%. W Halach Mirowskich cena oficjalna za ser „wisi", jako żywo, 1 zł. 20 gr. Klijentkom mówi się jednak: sera w *tej cenie niema*. A po czemu? Po 1 zł. 50 gr. Stanowczej klijentce, która dała stragarniarce do zrozumienia, czem to pachnie, sprzedano jednak ser po cenie oficjalnej, mówiąc z obleśnym uśmiechem: „To dla drogiej pani *wyjątkowo*... I *ostatni raz*... Bo cennik *zaraz się zmieni*..."

Otóż to nie cennik powinien się zmienić, ale system kontroli.



Do roli kontrolerek możeby zaprosić np. członkinie Związku Pań Domu?

Mężczyźni — starostowie, wojewodowie — naprawdę na tych rzeczach się nie znają. To nie ich fach. Ich łatwo nawet oszukać. Ale przydzielcie każdej pani-kontrolerce po jakie 20 sklepów z jej „rewiru" — zobaczycie, jak się wahające ceny w sklepikach uspokoją...

Akademik i prawo autorskie

Korsarstwo intelektualne. W cylindrze. A jakże. I we fraku. I nawet przy orderach. Gdzie? U nas, niestety.

Członek Polskiej Akademji Literatury przetłomaczył i we własnej książce wydrukował całe ustępy z książki sławnego pisarza angielskiego, Russela. Nietylko je przepisał — ale, co najdziwniejsze, nerwowo się teraz unosi i nazywa „bandytami" tych, którzy jego, powiedzmy delikatnie, „pożyczkę", zauważyli i do wiadomości publicznej podali. (T. j. redakcję „Prosto z mostu").

Pan Rzymowski, bohater tej niewesołej afery, uważa, że jest w porządku. Pan Rzymowski akademik jakoś nie pamięta, że w Polsce *prawo autorskie obowiązuje*, tak, jak w Europie. Prawo autorskie nie obowiązuje — w Sowietach. Tam rzeczywiście z pogodną twarzą można wyprawiać harce na cudzej własności literackiej. Bezkarnie.

Opinia — nie ta „kołtuńska", ale ta niezależna, wypowiedziała się już na temat tej dziwnej sprawy.

Nie wypowiedziała się natomiast instytucja najbardziej do tego powołana — mianowicie Polska Akademja Literatury.

Czasami przysłowia należałoby tłomaczyć na opak. W danym wypadku milczenie — nie jest złotem.

Działalność partyjna

Dwaj francuzi rozmawiają o odbytym poprzedniego dnia kongresie partyjnym. Jeden pyta drugiego:

— No i cóż uchwaliliście?

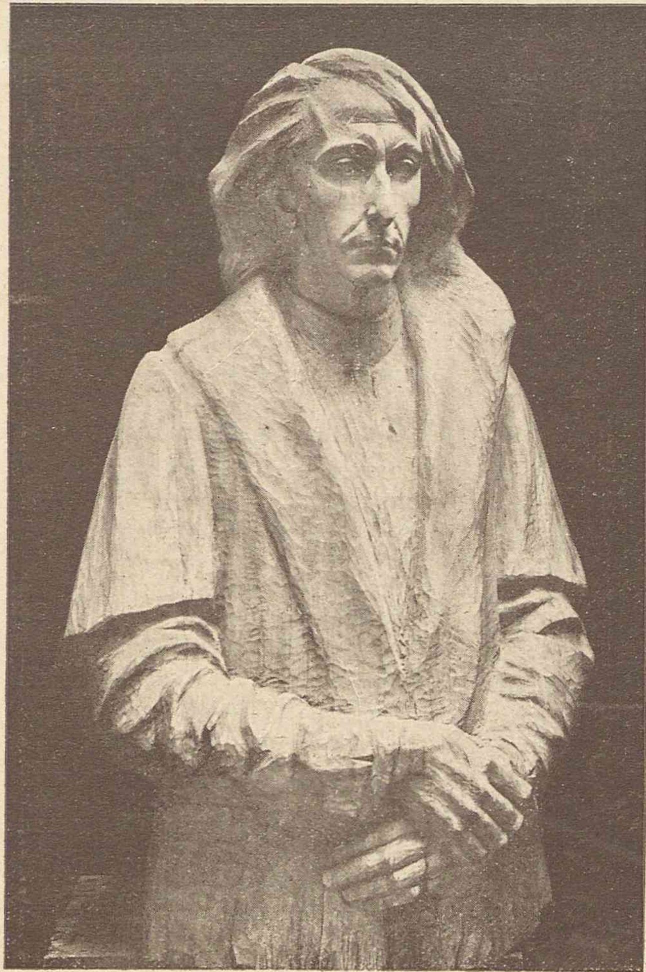
„Nic. Ale zato jednogłośnie".

Czy to samo nie mogłoby się zdarzyć i pod inną szerokością geograficzną?

Uparty nurek

KONSTANTY LASZCZKA

ARTYSTA – OBYWATEL



K. Laszczka. „Kopernik" (rzeźba w drzewie)

Niezawsze u nas zasłudze odpowiada uznanie. Niezawsze wielkiej pracy i talentowi — sława najszersza.

Jednym z przykładów tego stanu rzeczy jest Konstanty Laszczka.

Znakomity ten artysta ma w Muzeum Narodowym w Krakowie pięć dzieł, w Warszawskiej Zachęcie Sztuk Pięknych jedną głowę w marmurze, w Prezydjum Rady Ministrów jedno dzieło, na Powązkach jeden pomnik, w Gimnazjum im. Generała Sowińskiego dwa dzieła i bronzowy biust Marszałka Piłsudskiego, znajdujący się w muzeum Belwederskiem. Prócz tego Poznań, Bydgoszcz, Kołomyja i pod Czarkowami nad Nidą — kto wie, czy to nie wszystko?

Aż tu naraz — o dziwo! Mała skromna osada Dobre, gminy Rudzienko, powiatu Mińsko-Mazowieckiego jest w posiadaniu sześciu dzieł znakomitego artysty.

Były kilkakrotny rektor (po Matejce i Fałacie) — a obecnie sędziwy honorowy profesor Akademji Sztuk Pięknych w Krakowie, Konstanty Laszczka, urodzony 8 września 1865 r. w Makowcu Dużym, gminy Rudzienko, z chwilą gdy się dowiedział, że w osadzie Dobre została wybudowana dużym kosztem materjalnym (dotychczas 220.000.— złotych), jako zbiorowym wysiłkiem gminy, przy pomocy Wydziału powiatowego i T. B. S. P. 7-io klasowa Szkoła Powszechna im. Marszałka Piłsudskiego, ofiarował z entuzjazmem i zupełnie bezinteresownie swoje prace w postaci sześciu dzieł sztuki muzealnej wartości, a mianowicie

1) Matka Boska z Dzieciątkiem Jezus (płaskorzeźba wypalana w ogniotrwałej glince).

2) Dwa stylizowane Polskie Białe Orły naturalnej wielkości (majolika).

3) Popiersie Marszałka Piłsudskiego nadnaturalnej wielkości. Dzieło to — portret robiony z natury z osobistą, jedyną w rzeźbie polskiej aprobatą i uznaniem, oraz własnoręcznym podpisem Marszałka, odlane w bronzie, jako pomnik, zostało postawione na stosownej podstawie przed szkołą w osadzie Dobre.

4) Popiersie Adama Mickiewicza (rzeźba w patynowanej glince).

5) Popiersie Juljusza Słowackiego (rzeźba w drzewie).



Konstanty Laszczka w swej pracowni przy pracy nad wodotryskiem „Wisła"



K. Laszczka. Popiersie Marszałka Piłsudskiego

Są to dzieła olbrzymiej wartości artystycznej i materjalnej.

Przez piękny czyn swój profesor Laszczka na drugi plan usunął na czas pewien troski i kłopoty codziennych zmagań rolnika Rudzienkowskiego, podniósł ducha swych ziomków, skierował ich myśli wyżej, ku sztuce i pięknu.

Wydarzenie to nie może przebrzmieć bez echa. To też jako jeden z wdzięcznych mieszkańców gminy Rudzienkowskiej, czuję się w obowiązku przypomnieć społeczeństwu, kim był i jest mistrz Konstanty Laszczka.

Jako uczeń szkół średnich został on przyjęty do pracowni artysty rzeźbiarza J. Kryńskiego w Warszawie. Był to wówczas jedyny sposób rozpoczęcia studjów artystycznych, gdyż szkoły rzeźbiarskiej wtedy w Warszawie nie było. Jako stypendysta Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, wyjechał w 1890 roku do Paryża, gdzie pracował w „Académie Julien", jako uczeń profesora Mercier'a, a potem w Państwowej „École Nationale Spéciale des Beaux Arts" u profesora Falgnier'a i Gérome'a, gdzie w owym czasie cudzoziemców nie przyjmowano. Przyjęcie więc młodego Polaka było wyjątkiem, wielkim dlań zaszczytem i uznaniem jego talentu. Podczas swego pobytu w Paryżu artysta nasz wystawia stale swe prace na dorocznych wystawach w Salonie „Société des Artistes Français", co jest nie byle jakim sukcesem i wyróżnieniem dla Laszczki, jako dla artysty jeszcze studjującego.

W roku 1899 zostaje powołany przez Fałata do objęcia katedry rzeźby przy Akademji Sztuk Pięknych w Krakowie. Od roku 1897 zostaje członkiem T-wa Artyst. Polsk. „Sztuka", i jako taki przez przeciąg 38 lat bierze udział w blisko stu wystawach w kraju i zagranicą. Tej działalności artystycznej towarzyszyło stale uznanie w kraju, a szczególnie wielkie zagranicą. Dzieła Laszczki wystawiane były w wielkich centrach sztuki w Paryżu, Londynie, Rzymie, Wenecji, Florencji, Wiedniu, Monachjum, Gandawie, Pradze, St. Louis (Ameryka) i w wielu innych miastach. Wystawy te zjednały mu szereg nagród i odznaczeń.

Działalność jego, jako rzeźbiarza, obejmuje wszystkie niemal działy tej sztuki, począwszy od subtelnego medalu, czy plakiety, aż do monumentalnych pomników. Jeżeli zaś chodzi o materjał, to pod tym względem artysta jest niezwykle wszechstronny: gips, terrakota, majolika w zastosowaniu do ceramiki, rzeźby w marmurze i bronzie, wreszcie niezmiernie u nas rzadka ciężka praca w granicie. W szkole francuskiej nauczył się artysta cenić kunsztowną formę, wytwór kultury sięgającej czasów starożytnych. Obcem jest mu jednak trzymanie się utartych szablonów, jak i naśladowanie form cudzych. Mistrz Laszczka znakomicie wyczuwa indywidualną psychikę, każdej postaci. W portretach wydobywa najistotniejsze cechy podobieństwa i charakteru modela, zarówno wówczas gdy będzie to twarz ascetycznego filozofa, dziecka, czy pełne rasy i wdzięku głowy dam wytwornych lub wieśniaczek krakowskich.

W rzeźbie monumentalnej artysta dał duże pomniki jak Andrzeja Potockiego, bitwy pod Czarkowami nad rzeką Nidą, tablice pamiątkowe wmurowane w gmachach publicznych i kościołach, studnie publiczne, monumentalnie rozwiązane i t. p.

Że Laszczka doszedł do takich wyników, zawdzięczamy to zarówno jego talentowi, jak i niezwykłej pracowitości, niesłabnącej nigdy, mimo olbrzymiego



K. Laszczka. „Ś-ty Antoni"
(rzeźba w drzewie orzechowem)



K Laszczka. Matka Boska z Dzieciątkiem Jezus
(drzewo gruszkowe)

tempa i napięcia. Zaledwie jedną rzecz skończy, artysta zabiera się do drugiej. To też laik z podziwem patrzy, skąd w tym człowieku tyle siły, tyle umiłowania sztuki, skąd tak jasne i zdecydowane oddanie się tylko jednej idei tworzenia dzieł doskonałych. Prof. Laszczka wyrósł w polskiej wsi. Z lat dziecięcych pozostało mu w duszy umiłowanie i zrozumienie przyrody, to wielkie niezastąpione źródło artystycznych natchnień.

Laszczka unika powszedniości, nie znosi prozy życia, ucieka od banalności. Nie bierze on udziału w polityce stronnictw, w polemikach gazet i sporach partyjnych. Woli przebywać w świecie wieszczów, zaczarowanych księżniczek, świętych, smoków i rycerzy ducha, uwiecznionych w licznych jego dziełach.

Za całokształt artystycznej i patrjotycznej działalności, prof. Laszczce przyznano komandorję orderu Polonia Restituta, z gwiazdą.

Bohdan Juszkiewicz



Konstanty Laszczka
Popiersie córki artysty (marmur)

ZDZISŁAW KLESZCZYŃSKI.

POLOWANIE W PAŁĘKACH

(ilustracje Stefana Norblina)

Pan starosta Józio był w okropnej rozterce. Dostał od hrabiego ordynata Alberta Zadnieprzańskiego zaproszenie na łowy w Pałękach — — i absolutnie nie wiedział, co ma z tym fantem zrobić? Istniał bowiem pewien okólnik, zabraniający urzędnikom brania udziału we wszelkiego rodzaju polowaniach prywatnych a nawet — horribile dictu? — — przyjmowania gościny w domach znamienitych ziemian. Z drugiej znów strony, zapowiadały się w Pałękach łowy niezwyczajne. Ordynat Zadnieprzański miał gościć u siebie Nizama Papadaraki, jednego z najbogatszych książąt Opalu. Jak wiadomo, armaty angielskie wiwatują na jego cześć 19 razy, co jest wyjątkowem wyróżnieniem, bo Anglicy strzelają chętniej do kolorowych ludzi, niż na cześć kolorowych ludzi... Opalskie książę ma pozatem skarbiec, w którym rubiny, szmaragdy i szafiry walają się na podłodze, jak u nas, na śpichrzu, groch albo peluszka... A w książęcym kołpaku nosi Nizam brylant wielki, jak kurze jajo... Chętnie też podobno rozdaje dekoracje... A pan starosta Józio skrycie marzył o gwieździe Opalu, bodaj najniższej klasy...

Poszły tedy nerwowe telefony do Województwa, następnie do Warszawy. Wojewodzie żona rodziła. Vice-Wojewoda wyjechał na fjordy. A Warszawa tajemniczo milczała. Wreszcie nadeszła odpowiedź.

„W drodze wyjątku pozwalamy przyjąć zaproszenie — stop. — Z funduszu dyspozycyjnego asygnujemy na koszta reprezentacji 100 złotych."

Ostatnie było szczególnie ważne, bo pan starosta posiadał wprawdzie smoking i ciemny garnitur marynarkowy, ale nie posiadał fraka. Krawiec Nuchym Żółtabroda, powiatowy artysta, podający się za krojczego największych domów londyńskich i paryskich, gotów był uszyć frak panu staroście, kontentując się na razie zaliczką stuzłotową. Więc pan starosta niezwłocznie poweselał i zatelegrafował do Ordynata:

„Dziękuję, przyjmuję i przybyć nieomieszkam".

Poczem nastąpiła jeszcze dalsza wymiana depesz.

Ordynat do pana starosty.

„Będę miał honor witać Jego Wysokość Nizama Papadaraki na stacji w Babach — stop. — Czy Pan Starosta nie uznałby za możliwe oświetlić dodatkowo stację, na której palą się tylko dwie naftowe latarnie — stop. — Obecność przedstawiciela Władzy w Babach byłaby najmilej widziana".

Starosta do Ordynata:

„Wobec absolutnej niemożności porozumienia się w tak krótkim czasie Dyrekcją Kolejową, poleciłem dodatkowo ustawić dwie, na własną odpowiedzialność — stop. — Jeśli pan Hrabia sobie życzy, moglibyśmy zebrać w Babach naszych Krakusów? — stop. — Przybędę osobiście."

Ordynat niezwłocznie odtelegrafował:

„Dzięki stokrotne — stop. — Ja wysyłam Ordynacką Straż Pożarną, Gajowych w komplecie i Personel administracyjny."

Na to jeszcze raz pan starosta:

„Zarządziłem dodatkowo zbiórkę Wójtów i Sołtysów z Warząchwi, Pościeradowa, Babich Dołków, Babska i Przysypy."

Feta zapowiadała się wspaniale.

■

W dniu przyjazdu Nizama Papadaraki mała i cicha zazwyczaj stacyjka Baby przedstawiała się niezwykle. Pośpiesznie wkopywano dwie dodatkowe latarnie. Okoliczni Izraelici oblegali podjazd, szwargocąc zapamiętale. Ordynaccy strzelcy i gajowi, tworzący kordon, prężyli się zawczasu. Konie Krakusów kwiczały i wierzgały. Przywiezione ze słynnych szklarni pałęckich, chwiały się na zimnym jesiennym wietrze hrabskie laurusy i rododendrony, nadając budynkowi dworcowemu aspekt zgoła egzotyczny. Wreszcie zjawili się, prawie jednocześnie, Hrabia Ordynat z orszakiem, i Pan Starosta z orszakiem. Pierwszy oczywiście swoim słynnym Packardem — — drugi, starościńskim Chevroletem, mającym 400.000 kilometrów na liczniku. Wójtom i Sołtysom, na widok Władzy, z nadmiaru gorliwości, policzki aż krwią nabiegły. Podskoczył do pana Starosty przodownik Marucha, z raportem, że wszystko w porządku — — aliści w tejsamej chwili powstał na peronie nieopisany gwałt. Kopnął się przodownik Marucha uspakajać ten rozruch — — — czerwony, jak rak — — i wnet doszedł, kto, i co. To Srulek, nieszkodliwy przygłup z sąsiednich Babich Dołków, przecisnąwszy się przez uroczysty kordon, zaczął zrywać liście z hrabskich laurusów i oleandrów i pchać je sobie żarłocznie do gęby. Sprzątnięto idjotę. Wyskoczył na peron pan Zawiadowca stacji Baby, w nowym mundurze i białych rękawiczkach. Rozległ się zdala długi gwizd. Błysnęły żółte ślepia parowozu. I pociąg, wiozący Nizama Papadaraki, wtoczył się bardzo efektownie przed malutki peron.

Hrabia Albert był bezwątpienia wielkim panem, ale też i wielkim dystraktem. Wszystko należycie obmyśliwszy, zapomniał wydać instrukcji swoim ludziom, w kwestji produkcyj muzyczno - wokalnych. Stało się więc, że gdy gajowi i oficjaliści zaczęli wrzeszczeć „Sto lat, sto lat!" — ustawiona na peronie strażacka orkiestra ordynacka zaintonowała nagle melacholijnego walczyka, ostatni przebój sezonu: „Na sopkach Mandżurji". Nizam Papadaraki wysiadał tymczasem z salonki. Prosty lud ogarnęło zdziwienie. Myśleli, że wysiądzie jakiś majestatyczny starzec, z białą po pas brodą, w turbanie, z kolczykiem w uchu (albo w nosie) iskrzący się od drogich kamieni... A tu wysiadł młody człowiek, czerniawy wprawdzie, i haczykonosy, ale dość rzeźki jeszcze, a nawet wcale ruchliwy, w sportowych krótkich majtkach i marynarce z nakładanemi kieszeniami, w dużą brązową kratę... Za nim wylazło z wagonu trzech, czy czterech facetów koloru starej musztardy... Hrabia Ordynat podbiegł do dostojnego gościa i przemówił do niego coś po angielsku. Pan starosta Józio zapomniał, że jest w melonie, i zasalutował. Kilka osób odkryło gło-



... a tu wysiadł młody człowiek czerniawy i haczykonosy...

wy. Nizam Papadaraki zamienił z Hrabią shake-hand, warknął coś do panów ze swojej świty — i korowód zwolna opuścił budynek stacyjny, żegnany przez zgromadzone rzesze okrzykami, a przez strażacką orkiestrę — potpourri z „Pierwszej Brygady“ i „Marsza Sokołów“.

Zapomnieliśmy nadmienić, że przed dworcem stała także w ordynku Babicka ochronka. Dzieciaki na wozach drabiniastych przyjechały, strzęsły się okrutnie, wyczekały, zmarzły, więc wszystkim kapało z nosów. Zresztą, była to, od rozpoczęcia roku szkolnego, feta już piąta, czy szósta, a obchód, zdaje się, dwunasty. Dlatego zaaranżowana przez panią Ochroniarkę okolicznościowa kantata:

„Witają cię polskie dzieci,
sypiąc te polne kwiaty,
o żyj nam długie lata,
szczęśliwy i bogaty...“

wypadła raczej blado.

A kwiatów żadnych dzieci Nizamowi nie rzucały, bo kwiatów w październiku, wiadomo, skąpo — a te, co były, po drodze z drabiaków się wytrzęsły, albo ze zgrabiałych rąk wypadły..

Gość siadł z Ordynatem do Packarda. W następnej maszynie pojechali Czarni, ze świty Nizama. W trzeciej, pan Starosta z plenipotentem Hrabiego, olbrzymim i sumiastym panem Mniszkiem - Mniszkowskim. Szlachcic przez cały czas parskał pod nosem, jak sum (o ile sumy wogóle parskają).

— Małpi teatr i bałagan, słowo daję! Małpi teatr!

Potem ruszyli pozostali notable.

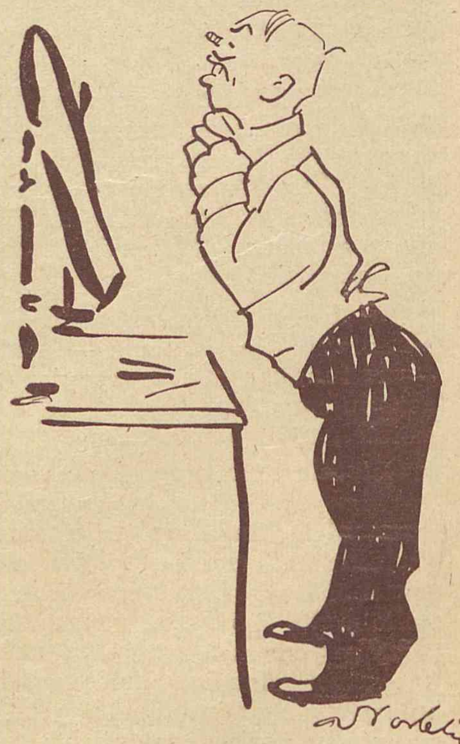
Krakusy mieli pierwotnie tworzyć banderję i eskortować zbliska Packarda, ale że to jechało na koniach zbieranych a przytem płochliwych, jednego poniosło naprawo, a drugiego nalewo, kilku tylko trzymało się, przez pewien czas, za samochodami, ale i ci, zmydliwszy szkapy, dali spokój...

Zdala gorzały tymczasem historyczne Pałęki, oświetlone a giorno.

■

Zajmijmy się teraz przez chwilę panem starostą Józiem, bo Nizam Papadaraki udał się do swych apartamentów i przebiera się właśnie do obiadu. Otóż tragedją naszego sympatycznego i skądinąd niegłupiego starosty jest to, że się nazywa Józio. Myśleliście może dotąd, że go nazywamy zdrobiale? O, nie! Za zdrobniałe, albo pieszczotliwe przemawianie do przedstawicieli Wadzy można się znaleźć w Plerezie Bereskiej. Na imię panu staroście Teofil. A Józio, to jego rodowe nazwisko. Dużo mu już to nazwisko, w życiu prywatnem, i w karjerze służbowej, przykrości narobiło. W życiu prywatnem dlatego, że przedstawiany „Pan Józio“ — zawsze czuć się musiał, jak niepełnoletni korepetytor pełnoletniego syna domu... A na służbie znów — zaraz wychodziło na jaw, że pan starosta pochodzi z Halicji i Lodomerji. Jakoż, pochodził. Niby nic w tem złego, ale mnóstwo osób czuje niczem niewytłumaczone uprzedzenie do t. zw. Galileuszów. I pan Józio cierpiał, cierpiał naprawdę, będąc Polakiem lojalnym i ponaddzielnicowym!

W tej chwili kładł właśnie na siebie frak, bajeczną kreację krawca Nuchyma i mocował się z ciasnym kołnierzykiem, który ani rusz, szelma, nie chciał na spinkę „zaskoczyć“. Denerwował się pozatem, bo pan Hrabia



... w tej chwili kładł właśnie na siebie frak...

szepnął mu na ucho, że przy obiedzie będą oczywiście toasty na cześć gościa i że wypada właściwie, aby po toaście jego, Ordynata, który, jako gospodarz domu przemówi pierwszy — zabrał z kolei głos pan starosta, jako gospodarz powiatu... Niby mała rzecz, a kłopot duży. Najpierw, pan Starosta był słabym mówcą. Dalej, przemawiając w tak arystokratycznem gronie, trzeba pamiętać, żeby hasło „surowego życia" jakoś pogodzić z Burgundem i Szampanem... Spytał się wreszcie pan Ordynat, czyby pan Józio czasami nie mógł po francusku?... Okazało się, że absolutnie nie. Ważył tedy ojciec powiatu zdania ozdobne a zarazem państwowotwórcze, mocując się ze spinką. Jeszcze nie był gotów, a tu zjawił się lokaj, meldując, że wnet podadzą do stołu. Stół stołem, ale kołnierzyk — cholera. — Ostatecznie dobry służący zdjął białe rękawiczki, wziął szyję pana starosty w kleszcze palców i dopchał, przed lustrem, spinkę do dziurki. Z „motylkiem" poszło już łatwo, bo pan starosta przywiózł gotowy...

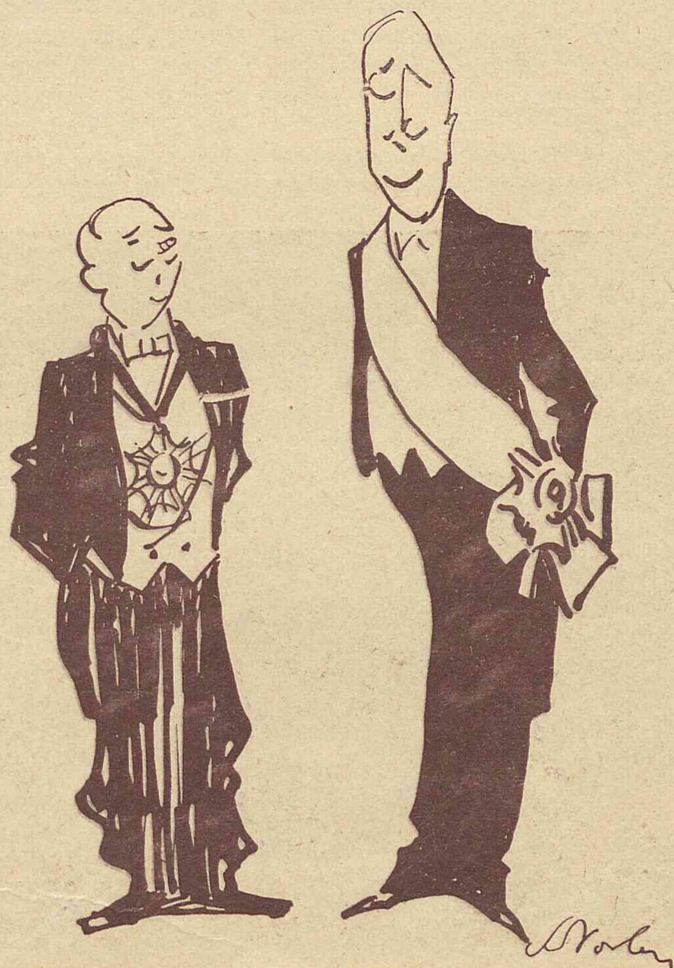
■

Menu było długie i wspaniałe. Nizam Papadaraki jadł, aż mu się uszy trzęsły. Między karczochami a plombirem (starosta karczochów nigdy nie jadł, więc kuzyna ostu polnego dźgał na swym talerzu widelcem, z pewną antypatją...) hrabia Ordynat, kilkakrotnie znacząco spojrzawszy na pana Starostę, wstał, zadzwonił w szklankę, i wypowiedział się po angielsku w tym duchu, że czuje się zaszczycony, mogąc pod tym dachem, z którego patrzą nań liczne pokolenia jego przodków — (zwrot był niekoniecznie fortunny, bo Zadnieprzańscy, jako żywo, nigdy na dachach nie siadywali, i jeden tylko przodek Ordynata po dachach łaził, ale to był Kalwin, i lunatyk...) — z którego tedy patrzą przodkowie — może witać księcia tak wielkiej krwi, gościa z tak dalekich i egzotycznych stron, et caetera... Ze starodawne węzły przyjaźni, łączące od wieków krainę Sarmatów z Opalem — et caetera... Nizam słuchał tego, kiwając z aprobatą głową. Gdy Ordynat skończył, Nizam wyciągnął doń rękę i ściskał ją długo i kordjalnie. Następnie, że to pewna pularda przyrządzona była, na cześć Nizama, z piekielnem c u r r y, (a Nizam curry nienawidził, jak Alfons XIII-ty walki byków!) gość długo kasłał. Wreszcie powiedział coś półgłosem do swojej świty. Dwu czarnych gentlemanów zerwało się zaraz z miejsc i podało swemu władcy, z nizkim dygiem, aksamitne puzdro. Nizam wstał, (kaszląc jeszcze) wyjął z puzdra order, wielki, jak słonecznik, i zawiesił go gospodarzowi na szyji. Orkiestra, ukryta za oknami, zagrała tusz...

Wówczas pan starosta poczuł, że i w nim elokwencja raptownie wzbiera, wstał i z determinacją zadzwonił w swój kieliszek.

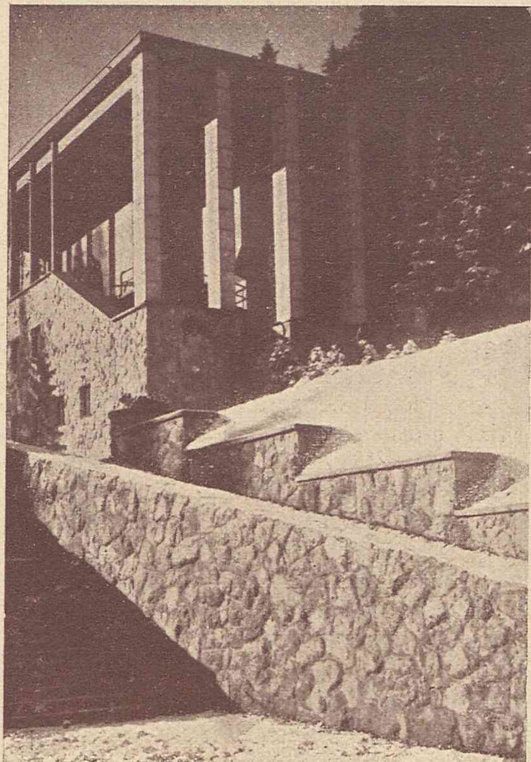
Pięknie przemawiał. O trudnej, ale wdzięcznej roli administracji państwowej; i o tem, jak on, Józio, pojmuje hasło „Frontem do rolnika!" O kryzysie wszechświatowym i o tem, że ten kryzys także Polski nie oszczędził. O Funduszu Obrony Narodowej. O Motoryzacji. O Lidze Morskiej i Kolonjalnej. O zadaniach szarego obywatela. O zadaniach obywateli wogóle... Wyraz „zadania", powtórzył się, w rozmaitych kombinacjach, najmniej z dziesięć razy. Już Ordynat ponsowiał. Ale w najkrytyczniejszej chwili, zaczął nagle bić zegar kurantowy, pamiętający Króla Stanisława Augusta. To ożywiło mdlejący dowcip pana Józia. Więc, skłoniwszy się z godnością gościowi, napomknął coś jeszcze o Gdyni, o konieczności wznoszenia zapór rzecznych i tam — i wypił duszkiem zdrowie Nizama. Nizam porozumiał się wzrokiem z Ordynatem. Czarni ze świty znowu podbiegli. I niebawem drugi order Opalu, tylko znacznie mniejszy, zawisł na szyji pana Józia...

Orkiestra znowu zagrała tusz. A z panem starostą zaczęło się dziać coś dziwnego. Może to był order — a może Szampan, którego wciąż dolewano — Lanson, doskonały rok! — ale poczuł się nagle bardzo szczęśliwym, bardzo arystokratą, nie starostą już, a Prefektem! — i bardzo rojalistą!



poczuł się nagle bardzo rojalistą...

K U Ź N I C E —



Stacja wyjściowa w Kuźnicach w/g projektu inż. A. Kodelskiego

Rok mniejwięcej mija od chwili, gdy na łamach prasy rozgorzała namiętna dysputa: „Spór o Kasprowy". Projekt budowy kolejki linowej Kuźnice — Kasprowy Wierch znajdował gorących zwolenników i niemniej zagorzałych przeciwników. Po jednej i drugiej stronie występowały poważne i zasłużone organizacje, znani i szanowani ludzie nauki i pióra. Każdej tezie przeciwstawiano równie uzasadnioną antytezę, każdy argument wywoływał całą serję kontrargumentów.

Obecnie projekt stał się rzeczywistością, a „Spór o Kasprowy" — miejmy nadzieję — przeszedł już do historji.

Nie od rzeczy jednak będzie przytoczyć najpoważniejsze zarzuty stawiane w swoim czasie śmiałej inicjatywie i zakrojonej na wielką skalę inwestycji. Najistotniejszy argument wytaczany przeciw projektowi opierał się na istotnie poważnych przesłankach ochrony przyrody. Ochrona świętej nietykalności gór przed niepowołanym intruzem — człowiekiem.

Zamieszczamy szereg zdjęć, ilustrujących poszczególne fragmenty trasy, budynki stacyjne, dyskretnie ukryte wśród smukłych smreków, zestrojone i stonowane z surową przyrodą górską. Czyż istotnie szpecą one rezerwat Parku Narodowego? Czyż ażurowe wieże nośne i wąskie niewidoczne przesieki są tak poważnym zarzutem, z chwilą, gdy jednocześnie uprzystępnia się wielotysięcznym rzeszom cudowną panoramę szczytów tatrzańskich?

Drugim argumentem były kwestje ekonomiczne. Zagadnienie rentowności przedsięwzięcia, korzyści dla skarbu państwa, dla turystyki, dla rozwoju uzdrowiska wysokogórskiego — Zakopanego.

Przytoczmy cyfry: Mamy przed sobą wyniki pracy kolejki przez osiem miesięcy, t. j. od marca do października 1936 r. Wiemy, że przewiozła ona 92.366 osób, to jest mniej więcej dwa razy tyle osób, ile w tym czasie w Zakopanem przebywało. Dochód za sprzedane bilety wyniósł w tym okresie sumę zł. 271.093. Poza temi cyframi dysponujemy również pewnemi faktami, które pośrednio, ale nie mniej silnie przemawiają za przeprowadzonym eksperymentem. Oficjalna statystyka wykazuje, że frekwencja meldowanych turystów w Zakopanem, w miesiącach marcu, kwietniu i maju 1936 r. dała nadwyżkę 92 — 98% w stosunku do cyfr z roku ubiegłego, a nadwyżka ilości biletów sprzedanych do Zakopanego na P. K. P. wyniosła w miesiącach maju, czerwcu i lipcu 1936 r. 22 — 30%. I ten stan rzeczy, przedewszystkiem w zakresie wzmożonej frekwencji trwa i musi być związany z powiększeniem się atrakcyjności Zakopanego przez wybudowanie kolejki. I to właśnie pozwala nam sądzić, że nadzieje przywiązane do przeprowadzenia tak wielkiej inwestycji nie były płonne.

Porzucając jednak suche cyfry i wynikające z nich gospodarcze wnioski, trzeba dobrze zrozumieć, czem, z punktu widzenia turystycznego, jest kolejka? Przedewszystkiem wielką stacją turystyczno - narciarską. Wykończone obecnie urządzenia schroniskowe dają możność pomieszczenia ponad 100 osób, ich wyżywienia, pełni obsługi turystycznej. Jednem słowem turysta, czy narciarz znajduje na Kasprowym, na wysokości prawie 2.000



Kolej linowa na tle krajobrazu Tatr *Fot. A. Wieczorek*

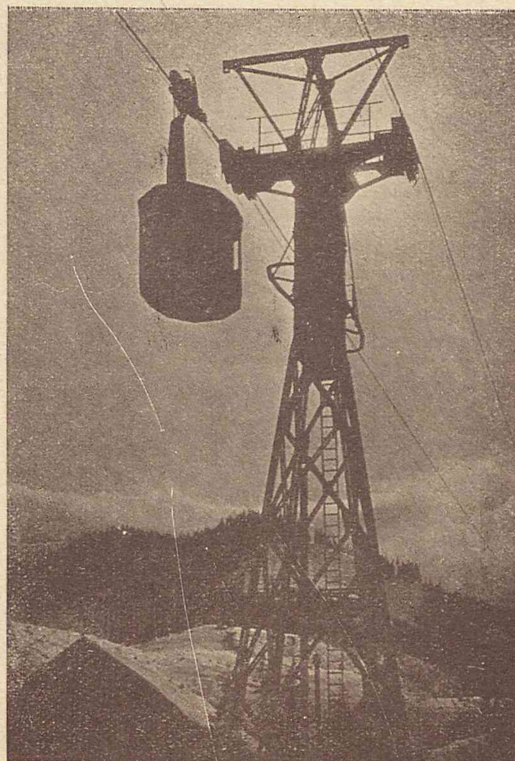
KASPROWY WIERCH

m. w 20 minut jazdy od Zakopanego, pełnowartościową bazę dla swych poczynań turystycznych. W okresie ogólnego braku czasu, pośpiechu, wykorzystania każdej wolnej chwili dla nacieszenia się słońcem, pogodą i śniegiem, tego rodzaju ułatwienie i przybliżenie rozkoszy zimy tatrzańskiej dla turysty jest swego rodzaju rewelacją. Jeżeli dodamy do tego przedłużenie zimy narciarskiej przez wysokość Kasprowego prawie do połowy maja, z tem, że na nartach można już jeździć na Kasprowym od października, będziemy mieli obraz atrakcji, jakiej turystom dostarcza ta inwestycja.

W lipcu 1935 roku z inicjatywy vice-ministra Komunikacji, Prezesa Polskiego Związku Narciarskiego, p. Aleksandra Bobkowskiego powstało Towarzystwo Budowy i Eksploatacji Kolejki Linowej Zakopane (Kuźnice) — Kasprowy Wierch Sp. z ogr. odp. Sprawami Towarzystwa i budową kierowali: jako główny dyrektor i naczelny kierownik budowy inż. arch. Aleksander Kodelski, stroną finansowo-prawną dr. Wacław Lewicki i Edmund hr. Komorowski. Projekt budynków wykonali inżynierowie architekci Anna i Aleksander Kodelscy. Projekty wnętrz budynków wykonali inżynierowie architekci Kodelski i Stokowski. Projekt mebli wykonał arch. Banach.

Prace przy budowie kolei linowej rozpoczęto w sierpniu 1935 r.

W miesiącu październiku przystąpiono do wykonania budynków stacyjnych i wież podporowych tak, że w ciągu 3-ch miesięcy budynki stacyjne na Turniach i w Kuźnicach były gotowe w surowym stanie, wieże podporowe wykończone, liny nośne każda wagi około 30 t. przetransportowane i wciągnięte na właściwe odcinki. Jedynie budynek stacyjny na Kasprowym był gotowy w stanie surowym dopiero w styczniu 1936 r. Opóźnienie to wynikło naskutek olbrzymich trudności transportowych, wywołanych ograniczoną wydajnością kolei roboczej, jak również okresem zimowym, okresem zawiei śnieżnych i wichrów. W styczniu budynki w Kuźnicach i na Turniach były oszklone. W ciągu miesiąca tego wykonano montaż urządzeń mechanicznych, roboty instalacyjne, rozpoczęto próbne jazdy na dolnym odcinku tak, że w dniu 25 lutego ruch na dolnym odcinku został oddany do użytku publicznego. W dniu 15 marca oddano do użytku publicznego ruch na górnym odcinku, na jednym torze, co spowodowane było uszkodzeniem jednej z lin nośnych podczas jej transportu na Kasprowy. Uszkodzenie to powstało wskutek zerwania się pomocniczej liny, służącej do wciągania liny nośnej.


Wagonik mija podporę *Fot. A. Wieczorek*


Wagonik w biegu pod szczytem Kasprowego nad Suchą Doliną Kasprową *Fot. A. Wieczorek*

Przez lato i jesień wykonano roboty wewnętrzne i wykończeniowe zewnętrzne: tynki zewnętrzne, urządzenia restauracji i barów, budowę schroniska na Kasprowym, zbiorniki na wodę, drenaż, a ponadto ścieżki turystyczne i narciarskie.

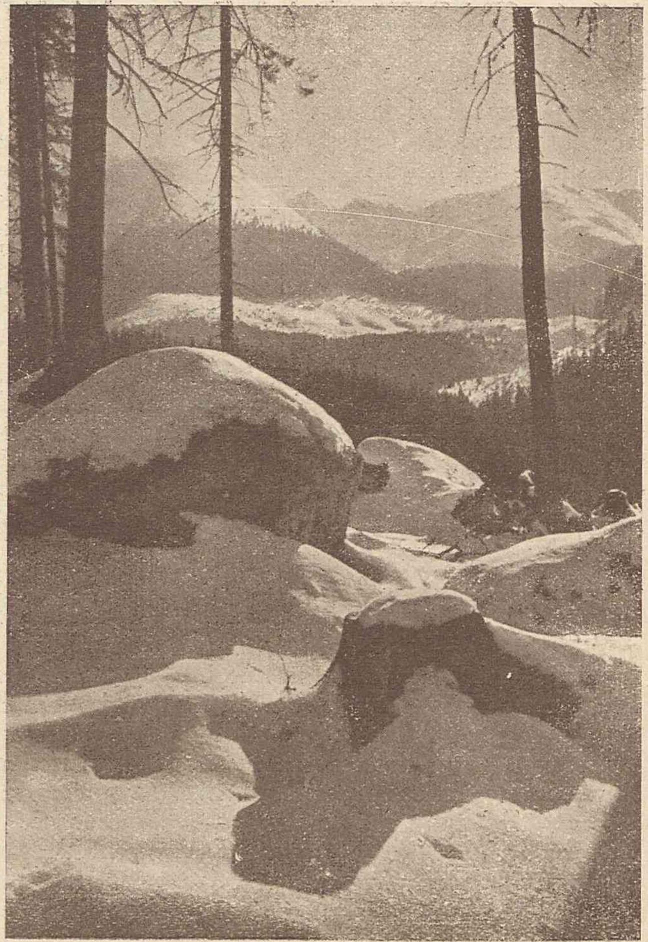
Kolejka linowa na Kasprowy Wierch jest 60-tą z rzędu wg. kolejności budowy, 4-tą co do największej długości, a została zbudowana w najkrótszym czasie z pośród wszystkich istniejących na świecie.

Dnia 22 b. m. odbyło się uroczyste poświęcenie wybudowanej kolejki w obecności przedstawicieli Rządu, miejscowych władz, społeczeństwa i licznie reprezentowanej prasy.

Po krótkiem sprawozdaniu kierownika budowy inż. A. Kodelskiego, liczni mówcy: p. min. Ulrych, Vice-prezes P. Z. N. dr. Boniecki, Prezes Związku Górali, A. Krzeptowski, burmistrz Zakopanego inż. Zaczyński, podkreślili zasługi, jakie dla dobra polskiego narciarstwa, turystyki i uzdrowiska Zakopane położyli: inicjator v.-min. A. Bobkowski, kierownik budowy inż. A. Kodelski i pracownicy kolejki. *J. Chrzanowski.*

W. A. FIRSOFF

DZIEŃ SŁOŃCA I ŚNIEGU



Krajobraz tatrzański z trasy kolejki linowej.
Fot. A. Wieczorek

Koła pociągu śpieszyły się przez noc, a ja, korzystając z umiarkowanego braku tłoku, wyciągnąłem się na górnej klapie siedzenia, które, niestety, posiadało tę niemiłą właściwość, że było wzdłuż trochę za krótkie. Jako tako spałem, a gdy budziłem się, stawało mi nagle przed świadomością smętne przeczucie, że nic z tego, to znaczy — śniegu, nie będzie. A ranek wyglądał nieszczególnie, szaro, dżdżysto, ponuro; blada nadzieja zbladła jeszcze bardziej i krótki twardy sen zstąpił jak błogosławieństwo.

— Zakopane — zapowiedział konduktor — przyjechałem. Na dole było błoto. Niebawem jednak rozbłysło słońce i białe góry wżarły się w błękit nieba. Dryndulka, zwana fiakrem, toczyła się walnym stępem do Kuźnic. Było niewątpliwie zimno, lecz równocześnie rzeźko i przyjemnie, tak, że nawet pomimo stosunkowo lekkiego stroju, nie odczuwało się chłodu. Czułem się trochę sennie, trochę niecierpliwie, trochę we wspomnieniu, trochę w rzeczywistości... Ciemne sylwetki smreków, jasny przebłysk Pośredniej Goryczkowej, szara droga, płytki lodowe na kamieniach — Tatry...

I tak ruszyłem w górę antyochroniarskim sposobem komunikacji, który naprzestrzał świecił pustkami. Wagonik drgnął na podporze. Pod stopami płynęły spłaszczone świerki, na cienkiej warstwie śniegu widniały ślady królicze. Czerwone Wierchy jarzyły się bielą. Lekkie rozczupiórzone obłoki wiły się po granicie Giewontu... Myślenickie! Przesiadłem i nowy wagonik pomknął ku szczytowi. Było coraz bielej, coraz zimowiej. W cichych żlebach czaiły się potężne śniegowe zwały. Z poza zasłony ciemnej turnicy wyjrzały iskrzące się w słońcu Granaty. Wagonik podbiegł pod stromy stok śnieżny i wzniósł się zwolna pod peron stacji końcowej.

Na stacji robiono wielkie porządki przedsezonowe, tłoczyli się robotnicy, ktoś komuś o coś wymyślał. Zostawiłem plecak w bufecie i podsmarowawszy zlekka deski wychynąłem na słońce. Pochwycił mnie biały słoneczny świat, pochwycił i uniósł — słoneczny, taneczny i pijany. Pomocowałem się chwilę z amstutzami i szybkim zakosem podszedłem pod szczyt.

Na twardym podkładzie leżała lekka, kilkudziesięciu - centymetrowa warstwa puchu, nietknięta narciarskim śladem. Stoki Beskidu spoczywały w błękitnym cieniu. Tylko dwie ciemne postacie posuwały się pieszo ku przełęczy... Pod granią Hrubego i bastionem Krywania legła lśniąca mgła.

Nieśmiałemi kristianiami obsunąłem się na siodło przełęczy. Obskok wypadł nieciekawie — płaski i niski. I znów pomknąłem po białej puchowej toni, stok jednak wydał mi się jak na początek zbyt stromy, skręciłem krótką krystianią i zatrzymałem się. Nogi drżały, a serce biło niespokojnie... Podszedłem biegiem, z zapartym tchem i skreśliłem kilku łuków krystianiowych w dół żlebu. Styl psuł się co chwila, a krystianie szły bardzo krągło, nieśmiało i oporowo.

Wreszcie ukazali się jacyś narciarze... Profanowali śnieg zjeżdżając zakosami. Odwróciłem się z oburzeniem i szybkim floresem pomknąłem w dół — szybciej, szybciej — pęd roznosi nogi, zakręt, podcinam śnieg, wybucha biały obłok kurzu... Ostrożnie, coś wystaje, zdaje się, kamień!... Minąłem, susem przemknąłem kocioł. Gładkie, pologie stoki uciekają wstecz — w prawo!... w lewo! Uginają się niepewne kolana — pierwszy dzień, pierwszy śnieg!... Zatrzymałem się — cisza, słońce, mroźny upał, szeroko dokoła rozłożyły się śnieżne przestrzenie. Zlekka kręci się w głowie i pijana, młoda radość podpływa do gardła. Stoję i patrzę. Ciemne punkciki narciarzy wysunęły się na przełęcz, ktoś szusuje z Beskidu. Mijają srebrne chwile. Mgłą zakurzyła się grań.

6 razy zjechałem z Kasprowego i Beskidu w kierunku Hali Gąsienicowej. Zmęczony podchodzę pod szczyt. Odstawiłem narty i wszedłem do środka. Piję gorącą herbatę i od niechcenia gwarzę ze znajomymi. Jest spokojnie, wesoło, słonecznie. Zbliża się godzina druga — czas odjazdu, koniec wakacyj...

Goryczkowa! Szybko spłynąłem po białych, lśniących przestrzeniach — śnieg, śnieg, śnieg... Odpoczywam i zjeżdżam dalej... Trawa, kamienie, zakręt, zakręt. Szerokie, krótkie, męczące krystianie wyrywają się spod nóg, jak spłoszone zające, nieprzerwanymi szeregami.

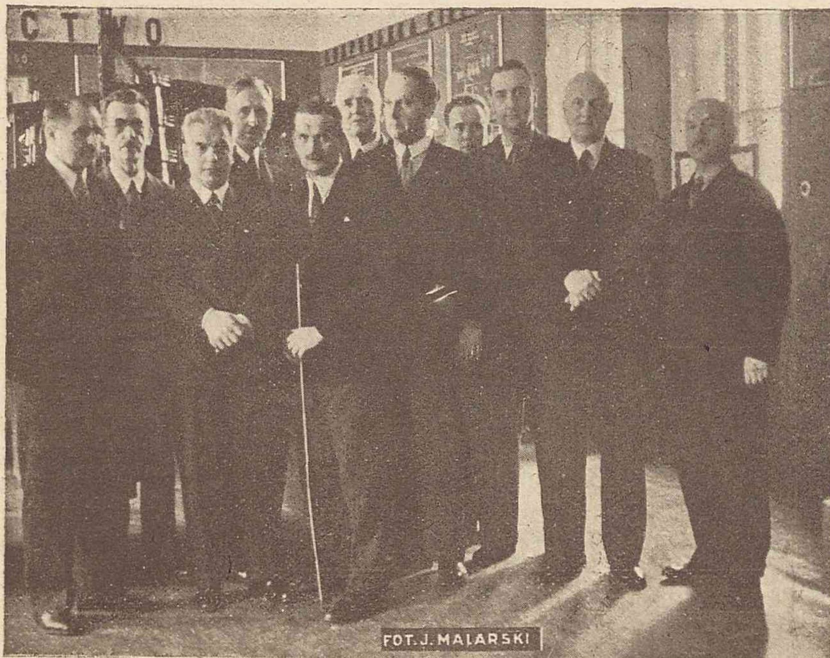
Stłoczyły się zaśnieżone kępy trawy i drzewka, urosły w las, rozstąpiły się aleją drogi. Dojechałem do Myślenickich Turni, śnieg się skończył, ciężkim, zmęczonym krokiem przewlokłem się zaklęsłością błotnistego podjazdu pod stację, przeszedłem peron i znów znalazłem się w srebrnym wagoniku, który zniósł mnie do Kuźnic. Jeszcze godzina i już siedziałem w pociągu w powrotnej drodze do Warszawy. Tak, idea ideą, ale jakby to było bez kolejki?... Zdrzemnąłem się — pociąg ruszył.

CZŁONKOWIE RZĄDU
w Muz. Przemysłu i Techniki.

Z inicjatywy Prezesa Rady Muzeum Techniki i Przemysłu Wiceministra Inż. A. Bobkowskiego dn. 20 b. m. odbyła się „ministerjalna" wycieczka do bogatych zbiorów muzealnych, mieszczących się w wynajmowanych gmachach, przy ul. Tamka 1 i Krak. Przedm. Nr. 66.

Udział w zwiedzaniu przyjęli pp.: Minister Przemysłu i Handlu A. Roman, Minister Komunikacji Pułk. dypl. J. Ulrych, Prezydent Miasta Min. S. Starzyński, Wiceminister A. Rose, Wiceminister S. Sokołowski, Wicedyrektor Funduszu Pracy Inż. M. Ponikiewski, Dyr. Dep. Dr. C. Peche, Sekr. Ministra M. Welsch.

Fachowych wyjaśnień udzielał Dyr. Muzeum Inż. K. Jackowski.


FOT. J. MALARSKI

W czasie zwiedzania była między innymi poruszona sprawa konieczności przyśpieszenia budowy gmachu, wobec żywiołowego rozwoju tego najmłodszego Muzeum, które swą systematyczną pracą osiągnęło nadspodziewane wyniki i powszechne uznanie całego społeczeństwa.

GUSTAW OLECHOWSKI 10)

ZMARTWIENIA DYPLOMATÓW

Powieść

Każdy nowoprzybywający prenumerator otrzyma bezpłatnie początek powieści G. Olechowskiego „Zmartwienia dyplomatów", której druk rozpoczęliśmy 26 września r. b.

— Zabawna jest ta pana teorja. Więc pan teraz dopiero dojrzewa. A kiedy się pan ożeni?

— Już nigdy chyba.

— O, szkoda. Zejdzie pan ze świata bezpotomnie.

— Cóż za szczególne wnioski?

— A miłość jest piękna.

— Boli panią jeszcze?

— Co? Głowa? Nie.

— Nie, nie głowa. Niech pani nie udaje. To, że pani nie panuje nad swoim języczkiem.

Nina popatrzyła na niego długiem spojrzeniem, otworzyła usta...

Doznała ulgi.

— Aha, rozumiem — wyszeptała.

— Nareszcie.

— Ależ pan się zemścił.

— Nie zemścił, tylko ukarał panią, doraźnie, po to właśnie, byśmy się stali przyjaciółmi. W przeciwnym razie pozostałaby gorycz — na długo.

Ucieszyła się.

— Dziękuję. Dziękuję bardzo.

Podała mu dłoń.

Kazimierz pocałował bardzo czule pachnącą, ciepłą rękę.

— Ale wie pan, gdybyśmy się nie wiem jak długo znali, nigdybym nie przyszła do pana sama.

— Wiem. Nie trzeba.

— A wie pan, dlaczego?

— Wiem. Bo pani mnie nie zna, więc się pani boi...

— Tak...

— Jabym — tego nie uczynił.

— To wiem. Ale pan ma taki sposób mówienia z kobietą i zachowywania się względem niej, że wprowadza ją pan w stan absolutnej poufałości. I to jest właśnie akt gwałtu. Fizyczny przymus byłby zbyteczny.

— Zwracam uwagę, że nie jestem uwodzicielem.

Kazimierz wydawał się teraz Ninie bardziej interesującym, niż Willy, który — jak dla niej — był zbyt sentymentalny. Pozatem jednak polubiła Zima dlatego, że właśnie przypominał jej barona. Mają wiele wspólnych cech, są przyjaciółmi, rówieśnikami.

Myśl jej skoczyła naraz w inną stronę:

— Panie Zim, czy może mi pan powiedzieć, czy to prawda, że pan ma wygłosić jakiś bardzo ciekawy odczyt w uniwersytecie?

— Ależ wy macie informacje!...

Nina zaśmiała się.

— To wielki zaszczyt dla pana, że uniwersytet zaprasza go do wygłoszenia prelekcji. A o czem pan będzie mówił?

Wiedziała doskonale.

— Temat jeszcze nie ustalony.

Przyjęła do wiadomości.

Rozmowa nie kleiła się dalej, bo myśl Niny wzięła inny obrót, niż myśl Kazimierza. Obydwie pobiegły pod kątem, nie równolegle, więc przestrzeń, która je dzieliła, zwiększała się co chwila. Nina myślała, że nie będzie miała wiele do zreferowania Konspirinowi i że chyba trzeba będzie coś wymyśleć. A Kazimierz projektował, że zaprosi Ninę na swój odczyt, że da jej miejsce bliskie, by ją dobrze widział. Będzie się starał przekonać o słuszności swoich poglądów właśnie ją, najopórniejszego słuchacza. Z jej wyrazu twarzy będzie miarkował, czy ją przekonywa czy nie. Jeżeli będzie widział, że Nina pozostaje obojętną na temat i że on ją nuży, lub co gorsze, że Nina nic nie rozumie, lub że rozumiane odrzuca, to on w dalszem argumentowaniu zastosuje się do tego, wzmocni swoje słowo i musi osiągnąć rezultat.

Dlatego nie chce z nią teraz mówić o temacie, a w każdym razie — żadnych szczegółów.

Teraz może jej powiedzieć to, o czem nieraz myślał.

— Panno Nino, czy pani właściwe nazwisko jest Stenbok-Fermor?

Nina nie ukryła tego, że była zaskoczona.

— O, pan zna widać dawną rosyjską arystokrację. Tak. Nazwisko mojego ojca było — graf Stienbok-Fiermor. Ale u nas nie używa się żadnych przydomków. A pan znał kogoś tego nazwiska?

— Pani rodzina pochodzi z dawnej Kurlandji, obecnie Łotwy, a jeszcze ongiś z Polskich Inflant.

— Tak.

— Jesteśmy spokrewnieni.

— Co takiego!...

— Mój dziad ożeniony był w Rydze z hrabianką Stenbok-Fermor. Ale moja babka nie uważała się za Rosjankę, tylko za Niemkę.

— Jak jej było na imię?

— Anna.

— To była stryjeczna siostra mojego ojca, znacznie starsza od niego.

Odrzucili się w krzesłach.

Wpatrzyła się w Zima, jakby doszukując się w jego oczach czegoś...

— Teraz rozumiem, powiada Zim. Co za dziwne zjawisko. Pani teraz nie uwierzy, bo mówię post factum, ale od samego poznania naszego czułem — pomimo wszystkich przepaści — jakbym znał panią. I choć uderzyła mnie pani wielką swoją urodą, nie patrzałem na panią, jak się patrzy na kobietę. Czułem jakby braterski instynkt.

Uśmiechnęła się złośliwie:

— Czy dlatego tak skwapliwie zgodził się pan na to, że nigdybym pana sama nie odwiedziła.

— Honni soit qui mal y pense. Właśnie nie dlatego. Ale niech pani sobie z tego kuzynostwa nic nie robi. Pokrewieństwo jest związkiem ciał nie dusz. Przesąd, nic więcej. Ale co za dziwny zbieg wypadków!

— Niech to zostanie między nami.

— Oczywiście.

— Dlaczego mi pan to mówi dopiero teraz?

(Dalszy ciąg w następnym numerze)

Z ŻAŁOBNEJ KARTY



Ś. P. J. MACHLEJD

Ś. p. Juljan Machlejd urodził się w Grochowie pod Warszawą, dn. 22 listopada 1866 r. z ojca Karola Machlejda, znanego przemysłowca i założyciela browaru p. f. „Karol Machlejd" i matki Julji z Teychert-Stawickich.

Początkowo uczęszczał do VI-go gimnazjum w Warszawie, lecz z powodu organizowania kółek patrjotyczno-naukowych wśród swych kolegów, był zmuszony wskutek prześladowań przenieść się do II-go gimnazjum, a nawet w końcu przerwać naukę w Warszawie i przenieść się do Petersburga, gdzie w roku 1888 ukończył gimnazjum z wynikiem celującym.

Wyższe studja teologiczne odbył na Uniwersytecie w Dorpacie 1888 — 93 poczem udał się na dalsze studja do Krakowa, Lipska, Jeny i Berlina. Najdłużej przebywał w Krakowie, gdzie zaprzyjaźnił się z Józefem Kotarbińskim, który był głównym mistrzem i nauczycielem Zmarłego w sztuce krasomówstwa.

Po wyświęceniu na pastora w Warszawie, początkowo był wikarjuszem przy parafji ewangelickiej w Nowym Dworze, poczem objął stanowisko pastora w Zborze Warszawskim.

Na tem stanowisku rozwinął bardzo ożywioną działalność i cieszył się wielką popularnością i uznaniem, zarówno ze względu na swój wielki dar krasomówstwa, jak również i na swe bezkompromisowe polskie stanowisko, czem narażał się niejednokrotnie władzom rosyjskim. W szczególności z całą bezwzględnością przeciwstawił się akcji germanizacji Kościoła, prowadzonej przez ówczesne władze rosyjskie.

W 1909 r. Ks. Machlejd opuścił stanowisko II pastora Zboru Warszawskiego, poświęcając się z całem oddaniem służbie obywatelsko-społecznej.

W roku 1906 był głównym inicjatorem i jednym z założycieli gimnazjum im. Mikołaja Reja w Warszawie, jak również pierwszym dyrektorem tegoż gimnazjum. Na tym stanowisku pozostawał przez lat 11 i wykazał b. wiele inicjatywy i zdolności organizacyjnych.

W 1915 roku po zajęciu Warszawy przez Niemców, władze okupacyjne pragnęły wszelkimi siłami przeprowadzić germanizację gimnazjum, czemu Zmarły przeciwstawił się energicznie i skutecznie.

W roku 1917, z powodu śmierci brata Ryszarda był zmuszony opuścić stanowisko dyrektora, by zająć się sprawami rodzinnemi.

Ś. p. Juljan Machlejd w zjednoczonem przedsiębiorstwie p. f. Haberbusch i Schiele piastował urząd członka Rady Nadzorczej od 1921 roku, a w ciągu ostatnich kilku lat był prezesem tejże Rady.

Zmarły był długoletnim prezesem Zarządu Spółki Akcyjnej Zakładów Ogrodniczych C. Ulrich.

W roku 1921 został wybrany vice-prezesem pierwszego Synodu Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w Zjednoczonej Polsce i na tem stanowisku pozostawał aż do zgonu.

W ciągu całego życia brał b. czynny udział w organizacjach społecznych, oświatowych i literackich. Między innymi wraz ze ś. p. Adolfem Suligowskim zasiadał przez kilka lat w prezydjum Stowarzyszenia Właścicieli Nieruchomości w Warszawie. Duże zasługi położył również przy organizowaniu Towarzystwa Higieny Praktycznej im. Bolesława Prusa i brał czynny udział w pracach Zarządu tej instytucji.

Będąc obdarzony niezwykłym darem krasomóstwa, wygłosił w Warszawie kilkadziesiąt odczytów na tematy historyczno-społeczne.

W czasie przemówień Jego w kościele przy ul. Królewskiej, mury tej świątyni nie mogły pomieścić tysiącznych zastępów, składających się nie tylko z parafjan, lecz również z wyznawców innej wiary, pragnących uczestniczyć w uczcie duchowej, jaką stanowiły jego prelekcje. Licznie zgromadzona młodzież w głębokiem skupieniu wsłuchiwała się w słowa, płynące jak kaskada najpiękniejszych pereł z ust kaznodziei.

Ś. p. ks. Juljan Machlejd zamknął strudzone pracą całego życia powieki dn. 15 listopada 1936 r., osieracając żonę Krystynę z Ulrichów, córki Halinę i Krystynę, zięcia Jana Herse, brata inż. Artura Machlejda, siostrę Julję Engemanową oraz dwie wnuczki.

Cześć Jego świetlanej pamięci.

CZY PANI WIE, ŻE...

...kremowe i żółte firanki trochę już się znudziły. Paryż bardzo w tym sezonie lansuje — zwłaszcza w pokojach mieszkalnych, sypialniach, garderobach i pokojach dziecinnych — firanki różowe. Nic milszego, jak takie łagodne perłowe światło, przesączające się przez różowy tiul do wnętrza pokoju.

■

...paryżanki bardzo starannie robią „maquillage" oczu. Ale nie znaczy to wcale, iżby sobie ordynarnie czerniły powieki dla uzyskania „demonicznego spojrzenia". Na wieczór nakłada się lekką mgiełkę pastelu szaro-zielonkawego albo szaro-błękitnego, albo szaro-bronzowego, zależnie od koloru oczu — na górną powiekę. Dolnej wcale się nie barwi. Na dzień przy świetle naturalnem wytworna paryżanka zupełnie powiek nie koloruje — tylko lekko zwilża górną powiekę oliwą. Delikatny połysk powieki uwydatnia wyrazistość spojrzenia, a nie sprawia wrażenia rażącej sztuczności.

■

...brwi wyskubane „na niteczkę" nie są już wcale modne. Najmodniejsze brwi mają u nasady nosa swoją szerokość naturalną, poczem, ku skroniom, jeżeli są za szerokie, moda nakazuje je zwężać, aby zakończone były zupełnie ostro. *Dama Pikowa.*

ALEKSY TOŁSTOJ.

ZABÓJSTWO ANTONIEGO RIVEAU

Poklepał ją po plecach, ukąsił w ramię. Ninetka patrzyła przezroczystemi oczami na oberwane obicia. A Karol chciał przedłużyć ten stan błogości i zaczął opowiadać wszystko, co słyszał podczas dnia od gości w kawiarni. Ninetka niecierpliwie wzruszyła ramionami i rozpięła czarną jedwabną bluzkę. Wtedy Karol, rozumując, że nadeszła właśnie ta chwila, dla której wielu nawet znakomitych Francuzów ofiarowało życie — rzucił się do Niny, wziął ją na ręce i położył na łóżko. I te kinematograficzne wyczyny były znane Ninie. Rozebrała się systematycznie i wsunęła pod kołdrę.

— Co za kobieta, co za kobieta! — sapiąc, wyszeptał Karol. Potem za ciemnem oknem na kościelnym zegarze wybiła godzina pierwsza. Karol podciągnął kołdrę i ciągnął dalej opowiadanie o gościach kawiarnianych.

— I pomyśl, tylko, jaki to głupiec, ten stary ramol, Antoni Riveau...

— Jak powiedziałeś? — przerwała nagle Ninetka i siadła na łóżku.

To szybkie pytanie było ak niespodziewane, że Karol wpatrzył się w nią uważnie. Oczy Ninety patrzyły w jego oczy. Była w nich jakaś zagadka, ale nie — dziewczyna jest przecież uczciwa — i Karol ciągnął:

— Ten Riveau do tego stopnia przeraził się krachu Banku Chińskiego, że wyjął część wkładów — sześćdziesiąt pięć tysięcy — i trzyma je teraz u siebie w pokoju pod dywanem...

Roześmiał się kręcąc papierosa. Nineta odsunęła się od niego. Nieregularna jej twarzyczka stała się zafrasowana, prawie trwożna, oczy pociemniały. Nagle przelazła przez Karola, zeskoczyła na wytarty dywanik i zaczęła się prędko ubierać.

— Dokąd, Nina?

— Ah, zrobiło mi się słabo. Pójdę do domu.

Karol ziewnął, uśmiechając się:

— No, maleńka, jak chcesz, to idź. Nie zapomnij tylko zatrzasnąć drzwi na dole. Do jutra. Będzie kurczę z truflami.

Nina pocałowała Karola w głowę i pobiegła. Po minucie za oknem prędko, prędko — jakby zbyt prędko — zastukały jej obcasiki.

* * *

Noc była ciemna i ciepła. Ogromne kasztany stały nieruchomo, zaledwie muśnięte światłem z odległego placu. Zarysy domów występowały na tle ciemności nieba. Z liści spadały ciepłe krople. Nina przebiegła aleję, wdrapała się zadyszana na zarośnięty trawą wał forteczny i podniosła głowę.

Za drzewami, wysoko, świeciło się ciepłym światłem niewielkie okno. Okno było otwarte, jakby w niebie nad drzewami parku Mon Souris. Nina, nadsłuchując, wpatrywała się w ciemność między konarami drzew. Podniosła się na palcach i zawołała półgłosem, wyraźnie: — Michał!

Właśnie zachrzęściła gałązka, Nina przytuliła się do drzewa. Z drugiej strony ktoś cichutko zagwizdał. Słychać było szelest, jakgdyby coś miękkiego ciągnięto po zwiędłych liściach. Serce Niny biło głośno.

Znała kiepską opinję parku Mon Souris, ale wszystko ucichło. Nina znowu spojrzała w okno:

— Michał!

W oknie ukazał się widoczny do pasa człowiek w nocnej koszuli — mała głowa, proste ramiona. Przechylił się, wpatrując się w ciemność:

— Hallo?

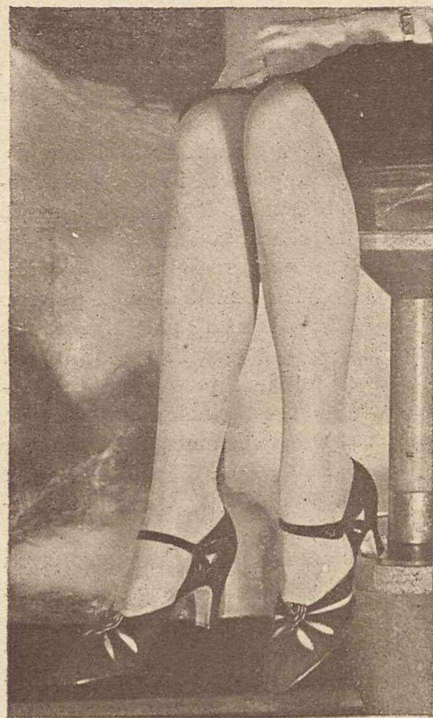
To był Michał Riveau. Ninie zaschło w gardle. Ale spoza pleców Michała pokazała się w oknie druga postać: włosy nastroszone jak wronie gniazdo, gołe ramiona. Zakrywając piers koszulą, kobieta spytała sennym głosem:

— Dlaczegoś tu przyszedł?

— Ktoś zawołał „Michał“.

— Ah, czyż jeden jest Michał w Paryżu? Chodź do łóżka. Chce mi się spać.

Mówili półgłosem, ale słychać było każde słowo. Nina przycisnęła rękę do ust, przytuliła się do drzewa, kora wpiła się w ramię. Wronie gniazdo w oknie kiwnęło się i znikło. Michał stał przez chwilę w zamyśleniu, ziew-



Najpiękniejsze nóżki Warszawy w prześlicznych pantofelkach mistrza Lucjana Leszczyńskiego — podziwiane i oklaskiwane na ostatniej rewji mody. To prawdziwe arcydzieło sztuki obuwniczej jak i inne najnowsze modele obejrzeć można codziennie w salonie wykwintnego obuwia LUCJANA LESZCZYŃSKIEGO (Nowy Świat 34). Dział obuwia męskiego cieszy się również uznaniem najwybredniejszej klijenteli.

nął i zniknął również. Okno zgasło, zginęło w czarnem niebie.

Nina, wciąż zaciskając ręką usta, drżała od płaczu. Potykając się o korzenie przebiegła przez trawnik, na placu obejrzała się na dom, gdzie zgasło okno, pokiwała kilkakrotnie głową, a potem mocno wytarła pięścią oczy.

Poranne słońce świeciło w strumykach, biegnących z wodociągów, błyszczało w kroplach na liściach jarzyn, na płatkach róż. W koszach, przyciśnięte kamieniami ruszały się czarne kraby. Po wilgotnym bruku jechały dwukołowe wozy, zaprzężone w dziwaczne perszerony w chomątach, pokrytych baraniemi skórami. Świstały baty. Mknęły auta. Wąska, gwarna ulica pachniała benzyną, wanilją, owocami, rybą i pudrem. Bladolice paryżanki w rannych pantoflach i fartuszkach troskliwie przygotowywały się do świętej godziny śniadania. Michał Riveau szedł po cienistej stronie trotuaru. Był zły i spokojny. Niedopalony papieros sterczał mu za uchem. Kasztanowate włosy zaczesane były według mody do tyłu. Krawat-muszka. Wąska marynarka, spodnie podwinięte, jedwabne skarpetki, zmięta koszula były niechlujne, ale włożone „z szykiem". Widział, że prawie każda spotkana kobieta, przechodząc koło niego otwierała szeroko oczy, a źrenice jej z uwagę spotykały jego źrenice. Psiakrew! W kieszeni dzwoniły złowieszczo, jak grabarz łopatą, dwie monety po dwa su. Niechby zaczął mówić teraz kto o moralnych podstawach! Ludzie — bydło — życie — gówno! Warto było wojować, żeby włóczyć się z dwoma su w porze śniadania...

Michel Riveau skręcił ku magazynowi „Belle Jardiniere" i zatrzymał się naprzeciw podjazdu przy kiosku z gazetami. Po drugiej stronie stał tłusty człowiek w złotych okularach.

Szyję miał mokrą, zwiędłą. Rozwinął gazetę i patrzył poprzez nią na podjazd, przez który zwykle wychodziły ekspedjentki.

Michał Riveau obejrzał go ze spokojną nienawiścią od czoła do lakierków i zwrócił się do starego gazeciarza:

— Hallo, stary — czy bierzecie po trzy su za gazetę? Bierzcie czterzieści su — nie mniej — przechodzień zapłaci, aby tylko postać przy waszym kiosku.

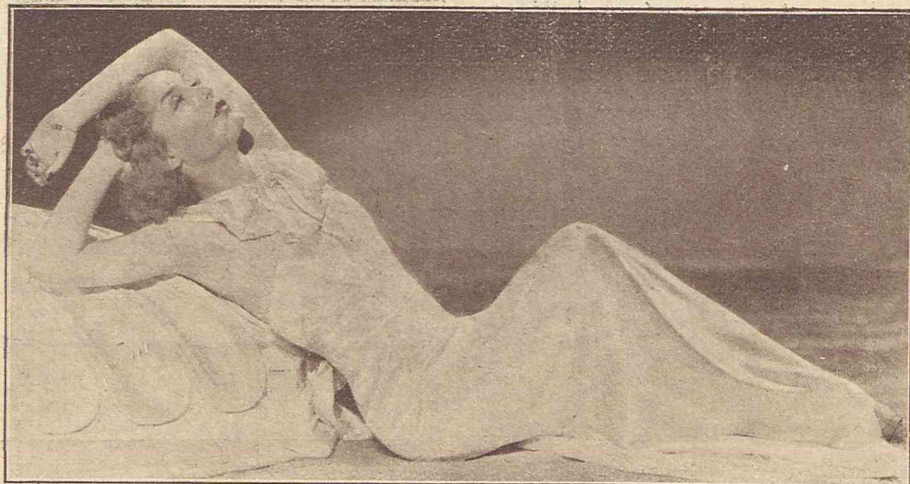
Gazeciarz z trudnością ssał fajkę. Mętne jego oczy miały sklerotyczną wilgoć. Michał uśmiechnął się krzywo.

— Kiedy myśmy się bili na froncie — burżuje, przeklęci paskarze dorabiali się na wojennych dostawach i delektowali się naszemi dziewczętami! My rozbiliśmy boszów, wróciliśmy do domu, a miejsca nasze teraz zajęło to tłuste bydło! Do dziewczyn nie można przystąpić: wymagają tualet od „Madeleine et Madeleine". Nauczyły się szastać pieniędzmi. A w tym czasie myśmy jak szakale szczękali zębami w okopach! Burżuje wyrzucają nas na ulicę! Zbawców ojczyzny zmuszają do wyciągania ręki. Ha! Ha! My wiemy teraz dobrze, jak pakować ostrze żelaza w tłusty brzuch! łatwo, jak w masło śmietankowe! Nauczyliśmy się wiele w okopach. Pogadamy jeszcze, kto ma pić szampana i całować dziewczynki!

Tłuściochowi zapotniały okulary. Spiesznie złożył gazetę i odszedł od kiosku. Rozmowy nie udało się nawiązać. Michał Riveau aż pobladł ze złości.

(D. c. n.)

Zima nadchodzi.
Tysiące ludzi jest bez dachu, bez odzieży, bez jedzenia.
Ratujmy ich od zimna i głodu.



Carola Lombard wystąpi w egzotycznym filmie kolorowym „Safari".
Fot. Paramount.



„Tajna Brygada" — Colosseum

Po mdłym i nudnawym filmie inauguracyjnym dyrekcja kina postanowiła uświetnić ostateczne wykończenie gustownego lokalu filmem pełnowartościowym. Wybrano trafnie obraz produkcji francuskiej (wytwórnia Parlo — film) ciekawie i starannie wyreżyserowany przez Pierre Billon'a.

Scenarjusz barwny i żywy, niezawsze całkowicie nowy i oryginalny, zerwał wreszcie z szablonem opierania filmów szpiegowskich o rzeczywiste czy urojone wydarzenia Wielkiej Wojny. Pozwoliło to na wprowadzenie pewnych inowacyj technicznych, na oderwanie się od prawie nieuniknionego dawniej zgiełku bitew i na upłynnienie akcji.

Duży nacisk i staranie położono na uzasadnienie psychologiczne poczynań bohaterów, umiejętnie urozmaicono akcję zdjęciami plenerowemi i szczęśliwie uniknięto zbytecznego przeładowania szczegółami. Zdarzenia, następujące po sobie szybko i dość logicznie, trzymają uwagę widza w napięciu. Nieoczekiwane komplikacje rozwiązują się naogół konsekwentnie mimo paru drobnych niejasności. Ciekawe sceny i odpowiednie tempo przykuwają uwagę.

Jean Murat (rola główna) jest dość znany i uznany, aby poświęcać mu zbyt wiele omówień. W postać kapitana wywiadu francuskiego włożył swe duże możliwości, okrasił go wytwornym humorem i wrodzonym wdziękiem.

Jego partnerka (Vera Korène) — kobieta szpieg — agentka wywiadu niemieckiego posiada dużą inteligencję aktorską, ciekawą mimikę i interesującą, niepokojącą urodę.

Wykonawcy ról drugoplanowych dobrani starannie, wnieśli dużo szczerości i przez nienaganną grę tworzyli znakomite tło dla walki dwojga asów wywiadu.

Kulturalna i dyskretna reżyserja sprawia, że mimo sensacyjności scenarjusza i dramatyczności akcji film nie nuży.

Napisy miejscami mało widoczne, a kopja chwilami zbyt ciemna.

Nadpropgram: ciekawie zrobiony reportaż Pata z uroczystości Święta Niepodległości. Zupełnie niepotrzebnie natomiast zdjęcia te powtarzają się w zwykłym tygodniku tejże agencji. *J.*

„Turandot" — Roma

Piękna, pogodna baśń o chińskiej księżniczce Turandot przewija się barwną wstęgą przed oczami widza. Bajecznie malownicza, egzotyczne tło, urozmaicone, efektowne kostjumy i oprawa dekoracyjna przy pogodnem ujęciu scenarjusza wprowadzają nas w świat zaklętej, tajemniczej baśni. Dyskretna, melodyjna muzyka, wschodni przepych i niewolniczość, a nadewszystko wesoło i ironicznie potraktowana akcja stwarzają (w założeniu) z ponurej chwilami legendy żywy, lekki, barwny film.

Pełna uroku i wdzięku Käthe von Nagy i wesoły, rycerski, zwycięski Willy Fritsch odtwarzają główne role księżniczki Turandot i szczęśliwego ptasznika Kalafa. Gra ich znakomicie oddaje pogodę i subtelną ironję scenarjusza, opromienia wdziękiem niefrasobliwą akcję i uwydatnia miłą prostotą nieskompli-

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Szpitalna 12. Telefon 5-04-00. Konto w P.K.O. Nr. 3755
Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem świąt i niedziel od godziny 11 do 3 pp.
Redakcja od godziny 11 — 2 pp. Redaktor naczelny przyjmuje w czwartki od godz. 11 — 1 pp., tylko po uprzedniem telefonicznem porozumieniu z sekretarjatem. Telefon 2-10-87. **Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca**

kowany charakter baśni. Dobranej parze dzielnie sekunduje dwoje ich sług — pełna kokieterji, kobiecego sprytu i trzpiotowatego wdzięku Mian Li i prymitywny, prosty i nieporadny Willibad.

Pozostałe role potraktowane operetkowo przy starannej charakteryzacji aktorów, pomysłowym doborze kostjumów i bezpretensjonalnej grze dobrze podmalowują barwne tło bajki.

Film lekki i pogodny, skonstruowany logicznie bez dłużyzn i monotonji, kończy się oczywiście happy end'em. Niedostępna, dumna i despotyczna księżniczka ulega czarowi i rycerskiej odwadze miłego zalotnika i ku ogólnemu zadowoleniu zgadza się oddać mu swe serce.

Artystyczne i pomysłowe ujęcie poszczególnych scen, subtelna gra, pewne pobłażanie i lekka ironja stwarzają z tego pogodnego obrazu miłe i niebanalne widowisko.

Nadprogram: dodatek Pata i kolorowa bajka rysunkowa o strasznym smoku pomysłowo i kulturalnie wystawiona przez Metro Goldwyn Mayer.

J.



Randolf Scott partner pięknej gwiazdy w „Safari". For. Paramount.

George Raft w nowej roli

Firma Paramount nabyła w tych dniach scenarjusz autora „Żółtego Skarbu" Charlesa E. Bootha p. t. „Kawior dla Jego Ekscelencji". W filmie tym rolę główną odtworzy George Raft, którego od dłuższego czasu nie mieliśmy sposobności oglądać na ekranie. Obok Rafta w filmie tym grać będzie Akim Tamirow, który odniósł wielki sukces w „Żółtym Skarbie".

Gary Cooper nie uznaje zastępców

Jak wiadomo, Gary Cooper na początku swojej karjery grywał przeważnie w filmach t. zw. cowboyskich. Jest on doskonałym jeźdźcem i strzelcem. Ponieważ rola jego w filmie de Mille'a „The Plainsman" wymagała szeregu niebezpiecznych popisów jeździeckich, wytwórnia Paramount zaproponowała, że w scenach tych wystąpi t. zw. „Doubler" Coopera. Cooper jednak odmówił stanowczo i wszystkie najniebezpieczniejsze nawet sceny odegra sam. Między innymi zobaczymy go, jak ujeżdża dzikie konie i walczy wręcz z Indjanami w scenach masowych, tak charakterystycznych dla filmów de Mille'a.

Nieudany wywiad z Katarzyną Herburn

Właśnie przyjechałem do Los Angelos jako świeżo upieczony reporter, nieźle zresztą mniemający o sobie i pełen zapału. Począwszy od „boskiej" Grety Garbo a ukończywszy na byle kontrolerze sławnego „Chinese-Theatre", gdzie odbywają się wszystkie wielkie premiery hollywoodzkie i w którego pięknem foyer spotkać można najsłynniejsze „gwiazdy", — z wszystkiemi byłem gotów przeprowadzić wywiad. Tak więc zacząłem od barmana Joe, murzyna, który z nieomylnością wyroczni potrafił przepowiedzieć, czy Fred Astaire będzie wolał kieliszek „Martini" czy też „Manhattana", — czy Ginger Rogers zażąda szampana „dry". czy „extra dry". Słuchał z pobłażaniem, gdy wyliczałem wszystkich, z którymi chciałem zrobić wywiad — i przy każdym nazwisku przyzwalająco kiwał głową.

Ale gdy wymieniłem Katarzynę Hepburn murzyn nagle potrząsnął głową. „Nie, panie, — rzekł. Nikt jeszcze nie zrobił wywiadu z Katarzyną Hepburn". — „Oho" — pomyślałem, i wyszedłem, urażony.

Pojechałem do studia RKO, gdzie mnie bardzo uprzejmie przyjęto. „Ach, tak, chce pan się rozmówić z Katarzyną Hepburn, proszę bardzo!" — i pięknie umundurowany boy w lśniąco bia-

łych rękawiczkach zaprowadził mnie, prze długie korytarze, do cichego gabinetu, gdzie równie uprzejmie uśmiechnięty jegomość, bez marynarki i, według amerykańskiego zwyczaju, z nogami na biurku, grzecznie mnie przywitał. „Chodzi panu o informacje o Katarzynie Hepburn? Proszę, niech pan zadaje pytania. Jestem poniekąd Katarzyną Hepburn, a nawet więcej niż Katarzyną. Nazywam się Smith. Jestem jej szefem reklamy. Katarzyna — ciągnął dalej — t. j. my pan rozumie — ukończyliśmy edukację w Bryn Mawr College i oddawna już marzyliśmy o tem, aby zostać wielką gwiazdą filmową. Z początku występowaliśmy w małych teatrzykach na Broadway'u i dopiero gdy..."

Nieśmiało przerwałem „Chciałbym się widzieć z samą panną Hepburn". — „Chętnie, proszę bardzo!" odparł Mr. Smith i zadzwonił. W drzwiach stanęła śliczna, młoda sekretarka. — „Miss Madeleine zaprowadzi pana".

Szliśmy przez liczne hale studia, pełne odgłosów pracy filmowej, aż dotarliśmy do wielkiej sali, w której był typowy drobnomieszczański domek amerykański, kryty czerwoną cegłą i o świeżo tynkowanych murach.

— „Oto widzi pan", szepnęła Miss Madeleine, „miejsce, w którem dokonywano zdjęć z Katarzyną Hepburn do filmu „Mam 19 lat". Nie może pan sobie wyobrazić, jak wzruszający był widok, gdy Katarzyna, w swej słynnej już dziś białej sukience, siedziała w tym oto fotelu na werandzie, swemi głębokimi zagadkowemi oczyma wpatrzona we Freda MacMurray'a... I deszcz lał jak z cebra, tu oto spływał, po tych rynnach... Widzi pan, ile tu przewodów u góry? Tutaj robimy najprawdziwszy deszcz hollywoodzki!".

Ze wzruszeniem serdecznem obejrzałem taras, rynny, przewody, w których wyrabia się najprawdziwszy deszcz hollywoodzki. I cicho spytałem: „Czy jednak zobaczę samą Katarzynę?"

I znowu szliśmy przez bezkresne hale, potem napotkaliśmy stare miasteczko niemieckie, przeszliśmy obok „drapaczy chmur" nowojorskich, skręciliśmy w uliczki portowe włoskie — wszystko z płótna, tektury i ślicznie pomalowane — aż wreszcie znaleźliśmy się na placu, otoczonym wysokimi murami.

„Tutaj widzi pan, — zaczęła Miss Madeleine, wskazując mi sterczący ponuro, w samym środku, szafot — miejsce stracenia Katarzyny. Tak niedawno to było... Biedna Katarzyna! To było straszne! Wie pan przecież — w filmie „Maria Stuart". Gdy wchodziła po tych schodach na szafot, wszyscyśmy płakali. Nawet Florence Eldrige — wie pan — która gra Elżbietę. Płakała i ciągle mówiła, że jej strasznie żal, ale że to sprawy polityczne..."

Weszło kilku ludzi w niebieskich swetrach i zaczęli rozbierać mury i szafot. Zdjęcia tej sceny były już dokonane.

Ale Katarzyny nie zobaczyłem. Bo nikt jeszcze nie zrobił wywiadu z Katarzyną Hepburn.

Jack.



Komiczny Charlie Ruggles gra jedną z ubocznych ról w „Safari".
For. Paramount.

Życie Curie-Skłodowskiej na ekranie

Wytwórnie amerykańskie po niedawnem filmowaniu życia Pasteura, zachęcone wielkim sukcesem tego filmu na wszystkich ekranach świata, przystępują obecnie do obrazu, którego tematem będzie życie naszej wielkiej rodaczki. Wytwórnia Universal rozpoczęła w tych dniach prace przygotowawcze dla jaknajgodniejszego uczczenia życia wielkiej i skromnej uczonej.

Bohaterkę tytułową odtwarza znana aktorka Irena Dunne, która w czasie swego ostatniego pobytu w Paryżu, zapoznała się z otoczeniem, warunkami życia i pracy wielkiej uczonej, konferowała z jej współpracownikami, względnie ze świadkami jej pracy. Sumienne studja, jakie przeprowadziła w związku ze swą nową rolą dają nadzieję, że tak zdolna i inteligentna aktorka jak Irena Dunne wcieli w swą rolę „*Madame Curie*" maximum staranności i wysiłku.



Gertruda Michael występuje obok Herberta Marshalla w filmie „Daddy and I." wytwórni RKO. Radio.

Nie zaznają w zimie głodu bezrobotni, jeśli każdy złoży ofiarę na Pomoc Zimową.

REDAKTOR: L. CHRZANOWSKI. Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk „Polska Zjednoczona", Warszawa

P